

NOWA KONFEDERACJA
thinkzine

nr 2(104)/2019

6 lutego—5 marca

cena: 0 zł



**UNIA
NA ROZDROŻU**

W numerze:**Dwa progi przed Unią**

Bogdan Góralczyk 3

Czy jest alternatywa dla „motoru” francusko-niemieckiego?

Tomasz Grzegorz Grosse 8

Nowa asymetryczna Unia?

Marcin Chruściel 13

Polityczny iPhone

Z dr hab. Robertem Gwiazdowskim rozmawia Stefan Sękowski 17

Po co nam taka szkoła?

Piotr Jesionowski 24

Czy powstaną „odnawialne” imperia?

Paweł Średziński 30

Sondażowe lustro Rosji

Marek Budzisz 35

Bolesny szpagat Jordana Petersona

Jarema Piekutowski 39

Kognideologia

Krzysztof Sękowski 44

„Genialna” Ferrante

Andrzej Horubała 50

Dwa progi przed Unią



BOGDAN GÓRALCZYK

Profesor, dyrektor Centrum Europejskiego UW

W jakim stanie będzie Europa i UE po przejściu przez Brexit i eurowybory, nikt nie wie. To w dużej mierze zależy od każdego z nas, przynajmniej w przypadku wyborów do Parlamentu Europejskiego. Stawka jest niezwykle wysoka

Na dwa miesiące przed Brexitem, gdy pisane są te słowa, sytuacja jest jak w przyślowym czeskim filmie: nikt nic nie wie. Wiadomo jednak z całą pewnością, że Unia Europejska właśnie staje przed dwoma wielkimi egzaminami – Brexitem oraz zaplanowanymi na 23–26 maja kolejnymi wyborami do Parlamentu Europejskiego, które tym razem mogą zamienić się w plebiscyt: za dotychczasową Unią lub poważnie zmienionym jej obliczem. Wyników nie znamy, ale cokolwiek w obydwu przypadkach się stanie, będziemy mieli do czynienia z nową UE, inną od dotychczasowej.

W przypadku Brexitu większe zagrożenia, przynajmniej na krótką metę, wiszą jednak, jak się wydaje, nad Zjednoczonym Królestwem, a nie samą Unią. Premier Theresa May przegrała sromotnie w Izbie Gmin, a dosłownie dzień później otrzymała od niej wotum zaufania. Albowiem torysi nie godzą się na wynegocjowane przez nią porozumienie z UE, ale tym bardziej nie godzą się na to, by doprowadzić do kryzysu rządowego, nowych wyborów

i być może oddać władzę szefowi opozycji, Jeremy'emu Corbynowi.

Widmo Ulsteru

Jednakże widmo poważnej zmiany, a nie tylko rządowego przesilenia, wisi nad Wielką Brytanią, bowiem wydarzenia ostatnich tygodni, prowadzące albo do „twardego brexitu”, tzn. wyjścia z UE bez żadnego porozumienia, albo nawet nowego referendum, przez rządzących dotychczas w Londynie nie do pomyślenia, rysują się jako bardzo realne scenariusze zakończenia tego procesu.

Kluczem wcale nie są, jak się długo w negocjacjach wydawało, kwestie wzajemnych rozliczeń finansowych, lecz tzw. backstop, a więc możliwość przywrócenia granicy między Irlandią a Irlandią Północną. Natychmiast niesie ona ze sobą scenariusz odrzucenia głośnego kiedyś porozumienia wielkopiątkowego w Belfaście i powrotu do groźnego – i krwawego (ponad 3,5 tys., ofiar śmiertelnych) – kryzysu w Ulsterze, gdzie przez trzy dzie-

sięciolecia (1968–98) trwały walki i terrorystyczne ataki (z jednym niedawno już ponownie mieliśmy do czynienia).

Istnieje więc niepewność polityczna, i związana z nią – gospodarcza, bo konsekwentne odrzucanie przez May coraz częściej podpowiadanego jej rozwiązania w postaci jednego pisma do władz w Brukseli, wycofującego się z art. 50 traktatu, i idącego w ślad za tym nowego referendum (tym razem w sondażach niewielką przewagę mają zwolennicy pozostania w Unii) zwiększają groźbę wyjścia z UE bez porozumienia. A to jest scenariusz przysłowiowej jazdy bez trzymanki, który miałby ogromne negatywne konsekwencje w sensie wzajemnych połączeń, wymiany handlowej, rozliczeń itd.

**„Powtórny pakt elizejski”,
jak się go potocznie nazywa,
zdaje się być jedynie
odnotowaniem faktu, iż po
odejściu Londynu
z europejskiej sceny Berlin
i Paryż wracają do ról
głównych rozgrywających na
kontynencie i w UE**

Tymczasem gra na zwłokę, którą zdaje się ostatnio uprawiać premier May, też nie wchodzi w grę, bowiem na horyzoncie są wspomniane na wstępie wybory do Parlamentu Europejskiego i już teraz, w najbliższych dniach trzeba przesądzić: z brytyjskimi europośłami, czy też nie.

Na razie, jak wiemy, prawdopodobna jest odpowiedź „nie”, ale brytyjska scena

polityczna jest tak rozedrgana (gdyż podziały biegną na niej teraz wewnątrz partii, a obok reprezentantów Ulsteru coraz mocniejsze pomruki niezadowolenia płyną z proeuropejskiej Szkocji), że doprawdy trudno przewidzieć, co się jeszcze stanie – i czego ostatecznie będziemy świadkami.

Na dziś pewne jest jedno: wychodzenie z UE to proces arcyskomplikowany, kosztowny, bolesny i trudny do pełnego oszacowania. Tę lekcję już odrobiliśmy, a Brytyjczycy płacą za nią wysoką cenę (jak ostatecznie wysoką, pokaże czas). Wiemy też, że dopóki opcja drugiego referendum, którego zwolennicy coraz częściej pojawiają się i pikietują przed gmachem parlamentu, nie jest poważnie brana pod uwagę, to trzeba liczyć się z tym, że UE gospodarczo bardzo się osłabi (szacunki mówią o 11-13 proc. zmniejszeniu jej ogólnego PKB).

Nic się nie stanie po Akwizgranie?

Wzmocni się tym samym, w sposób naturalny, pierwotna oś Berlin-Paryż, właśnie odnowiona przez przywódców Francji i Niemiec w Akwizgranie. Tyle tylko, że ten „powtórny pakt elizejski”, jak się go potocznie nazywa, zdaje się być jedynie odnotowaniem faktu, iż po odejściu Londynu z europejskiej sceny Berlin i Paryż wracają do ról głównych rozgrywających na kontynencie i w UE.

Kanclerz Angela Merkel i prezydent Emmanuel Macron mieli wzmocnić sojusz, ale – po pierwsze – zawarli porozumienie mało konkretne, a po drugie, raczej nie zahamują tym samym fali populizmu (to ich własne określenie) w UE. Wzbudzą natomiast niechęć, obawy i niepewność u pozostałych, mniejszych państw członkowskich, że oto rodzi się na naszych oczach scenariusz Europy dwóch przed-

kości, przed czym przestrzegł nawet w tym kontekście przewodniczący Rady Europejskiej, Donald Tusk.

Akwizgran jest symboliczny, bo kiedyś (962 r. n.e.) na wieki podzielił Święte Cesarstwo Rzymskie i imperium Karola Wielkiego, więc teraz ma dowodzić utrwalenia jedności. Jednak nowy traktat ogranicza się właśnie do symboli, a konkretów w nim mało (może poza projektem powołania wspólnego zgromadzenia parlamentarnego, po 50 posłów z każdej ze stron). Nic dziwnego, że w komentarzach pojawiły się oceny, że podpisali go politycy bez wizji – pani Merkel jako kanclerz schodząca, a pan Macron jako prezydent, który „nie dorósł do roli de Gaulle'a”.

Nie skonfrontowano się w zapisach umowy z najważniejszymi wyzwaniem, przed którymi stoi obecnie UE, takimi jak migracje, napięcia socjalne, wyzwania klimatyczne, a przede wszystkim – kwestie bezpieczeństwa wewnętrznego i zewnętrznego. Praktycznie nic też nie zostało z głośnych mów prezydenta Macrona w Salzburgu czy w Parlamencie Europejskim. dotyczących przyszłości europejskiej integracji. Bo trudno za taki projekt uznać enigmatyczny zapis, mówiący o działaniach na rzecz „wspólnej kultury”.

Dwie Europy w zwarcu

Tym samym, przywódcy w Londynie nie zdają egzaminu z rządu, a ci w Berlinie i Paryżu – z woli walki i wizji na rzecz lepszej przyszłości Europy. Tym bardziej kontrastuje to z wypowiedziami polityków takich jak węgierski premier Viktor Orbán, który już nie tylko na scenie wewnętrznej zapowiada „bój o kulturę”, czyli – ujmując inaczej – walkę o inny niż dotychczas zestaw wartości europejskich. A idzie mu w sukurs włoski wicepremier Matteo Sal-

vini, który z kolei szuka sojuszników, także w Warszawie, by zbudować koalicję, mającą na celu wysiedlenie dotychczasowych elit w Brukseli, no i może – o ile się da – w innych stolicach państw członkowskich UE.

Oni – a przecież nie są odosobnieni – chcą ponownie „Europy Ojczyzn”, jak za de Gaulle'a, a Orbán dopowiada jeszcze, że czas liberalnych i wolnościowych elit z pokolenia 1968, kojarzonych z rozwiązłością (jakkolwiek rozumianą) właśnie mija, a nadchodzi era nowego pokolenia, forsującego wartości chrześcijańskie (choć nie miłosierdzie dla odmiennie myślącego czy skądinąd pochodzącego), walczącego o suwerenne prawa i niezależność własnych państw. Pokolenia skonfrontowanego na dodatek z nadmiarem liberalizmu, symbolizowanego przez wywodzącego się z Węgier George'a Sorosa oraz z falą migrantów o innej cerze i religii.

To jest właśnie stawka, ogromna, nadchodzących wyborów europejskich. W świetle tego, co obserwujemy, nie ma żadnych wątpliwości, że mamy na terenie UE do czynienia nie tylko z kryzysem gospodarczym, socjalnym czy migracyjnym, lecz także aksjologicznym, w ramach którego rozpoczął się bój o system obowiązujących i wyznawanych wartości. Dotychczasowy kanon, w postaci tzw. kryteriów kopenhaskich, jest podważany. Już nie tylko w Budapeszcie i Warszawie, ale nawet w Rzymie, jednej ze stolic państw założycielskich całego procesu integracyjnego; a przeciwników ma także w Paryżu, czy nawet w Berlinie, gdzie Alternatywa dla Niemiec (AfD) też stale rośnie w siłę.

Kryteria kopenhaskie, to przede wszystkim państwo prawa, tolerancja dla mniejszości i „innego” (jakkolwiek jest rozumiany), no i demokracja liberalna,

czyli taka, która gwarantuje nie tylko klasyczny trójpodział władzy (na wykonawczą, ustawodawczą i sądowniczą), ale też niezależne – głównie od egzekutywy – media oraz społeczeństwo obywatelskie.

Podstawowy problem w tym, że siły kontestujące dotychczasowy porządek zarzucają brukselskiej biurokracji i tamtejszym elitom, że sprzeniewierzyły się temu, co głoszą; że stały się technokratyczne, oderwały od mas, cierpią na uwiad pomysłów i rozwiązań, a nade wszystko na tzw. deficyt demokratyczny, to znaczy nie mają odpowiedniego społecznego zaplecza i często nawet demokratycznego mandatu (jak Komisja). Mówiąc obowiązującą teraz u nas terminologią, straciły związek z suwerenem, a może i jego zaufanie. Co więcej, i co bodaj najgorsze, są kunktatorskie i stale zwlekają z rozwiązaniami i decyzjami, a w wielu kwestiach grunt nam się w Europie dosłownie pali pod nogami, co wzmaga społeczną frustrację.

Przy okazji tego wielkiego zakrętu ujawnił się nie tylko ten grzech pierworodny europejskiej integracji, tzn. fakt, że był to i pozostaje projekt elit, ale też wyraziście ujawnił się programowy, czy wręcz filozoficzny dualizm tego przedsięwzięcia. Zwolennicy federacji i ponadnarodowych rozwiązań są masowo atakowani przez konfederatów, opowiadających się za silnym państwem i rozwiązaniami międzyrządowymi.

W ślad za tym idzie wspomniany bój o wartości: liberałowie ścierają się z wyznawcami „demokracji neoliberalnej” (V. Orbán; jego krytycy mówią o „autokracji”), wyznawcy społeczeństwa otwartego mają za przeciwników narodowców i „obrońców suwerenności”, a zarazem wrogów multi-kulti, straszących rozkołysany elektorat widmem islamizacji i różnokolorowości. Co więcej, ci ostatni mają potężny atut

i straszak w swoich rękach: wojny, chaos, rozprzężenie, piekło niestabilności i presję migracyjną na naszych granicach.

Obywatele UE najpierw, po kryzysie 2008–10 roku, stracili poczucie bezpieczeństwa socjalnego, a teraz tracą wiarę w bezpieczeństwo w ogóle. Toteż kiedy jacyś politycy im to bezpieczeństwo obiecują, wierzą im – i ich wspierają, choć nie zawsze są to obietnice poparte konkretnymi. A liberałowie, to już pewne, jeśli się chcą utrzymać przy władzy i wpływach,

**Zwolennicy federacji
i ponadnarodowych
rozwiązań są masowo
atakowani przez
konfederatów,
opowiadających się za
silnym państwem
i rozwiązaniami
międzyrządowymi**

muszą odzyskać zaufanie demosu, czyli zawiedzionej szerokiej opinii publicznej. A w tym przypadku chodzi przecież, co też niebłaha, o dochody i rozwarstwienie – czyli jeszcze jedno, kto wie czy nie największe obecnie, źródło kontestacji, kontrowersji i społecznych pasji.

Albowiem należy się zgodzić z jednym przesłaniem, na ogół mocno krytykowanego za ogólnikowość nowego porozumienia francusko-niemieckiego w Akwizgranie: „Europa jest zagrożona od środka”. Natomiast Brexit stawia na porządku dziennym jeszcze jedną kwestię, dotych-

czas nawet niebraną pod uwagę w ramach obowiązującej formuły *ever closer Union*, coraz ściślejszej współpracy: dezintegrację.

W jakim stanie będziemy po przejściu przez te dwa wielkie progi, Brexit i euro-wybory, nikt nie wie. Wiemy jedynie, że

po przejściu przez nie Europa i UE będą inne. A jakie – to w dużej mierze zależy od każdego z nas, przynajmniej w przypadku wyborów do Parlamentu Europejskiego. Stawka jest niezwykle wysoka. Tym razem jest o co grać.

Czy jest alternatywa dla „motoru” francusko-niemieckiego?



TOMASZ GRZEGORZ GROSSE

Politolog i socjolog, doktor habilitowany nauk politycznych, profesor Uniwersytetu Warszawskiego, kierownik Zakładu Polityk Unii Europejskiej Wydziału Nauk Politycznych i Stosunków Międzynarodowych UW

Hanza 2.0 czy Włochy z Polską próbują równoważyć współpracę francusko-niemiecką. Prawdopodobieństwo zrównoważenia tego tandemu są jednak niewielkie

Sojusz francusko-niemiecki ciągnie się od początku procesów integracyjnych po II wojnie światowej, ale przełomowe znaczenie miał Traktat Elizejski z 1963 roku. 22 stycznia 2019 roku współpraca między obu państwami została pogłębiona traktatem podpisanym w Akwizgranie. Wspomniane porozumienie dotyczy zarówno pogłębienia współpracy bilateralnej, w tym na poziomie rządowym, jak i w ramach współpracy transgranicznej w zakresie transportu, energetyki, służby zdrowia i edukacji. Oba kraje zamierzają pogłębić dwustronną współpracę w zakresie bezpieczeństwa wewnętrznego i przeciwdziałania terroryzmowi. Ponadto, będą zmierzać do harmonizacji regulacji gospodarczych i koordynacji polityki gospodarczej.

Bardzo istotnym aspektem tego traktatu jest wzmocnienie wspólnych działań na arenie europejskiej. Dotyczy to przede wszystkim kształtowania regulacji na rynku wewnętrznym zgodnie z rozwiązaniami przyjętymi wcześniej w ramach współpracy bilateralnej, a więc w dużym stopniu za-

pożyczony z krajowych reżimów prawa gospodarczego. W ten sposób regulacje unijne na rynku wewnętrznym mają w coraz większym stopniu odwzorowywać instytucje funkcjonujące we Francji i Niemczech. Państwa zamierzają wspólnie kształtować politykę zagraniczną, w tym realizowaną przez instrumenty europejskie. Niemcy póki co zarzuciły swój postulat, aby francuskie miejsce w Radzie Bezpieczeństwa ONZ stało się wspólnym miejscem Unii Europejskiej. Zamiast tego Francja zgodziła się popierać przyznanie stałego miejsca w tej Radzie Berlinowi. Oba kraje będą też aktywnie wspierać dalszy rozwój polityki obronnej i bezpieczeństwa UE. Traktat z Akwizgranu wzmacnia geopolityczne znaczenie „motoru” francusko-niemieckiego w UE, co niepokoi coraz więcej państw we wspólnocie.

Różne formy współpracy

Czy istnieje możliwość zrównoważenia tej współpracy w ramach konkurencyjnych

sojuszy państw członkowskich? Zanim do tego dojdziemy, zarysujmy charakter współpracy francusko-niemieckiej. W integrującej się Europie podejmowane są dwa typy sojuszy między państwami. Pierwszy dotyczy konkretnych spraw merytorycznych, a konfiguracja współpracujących ze sobą krajów może być różna w zależności od problemu. Inna jest koalicja państw dążących do liberalnych rozwiązań na rynku wewnętrznym, nieco inna w zakresie powstrzymania transferów finansowych w unii walutowej lub UE, jeszcze inna ma na celu zablokowanie mechanizmu relokacji uchodźców w UE. Drugi rodzaj sojuszy ma charakter geograficzny, gdzie współpracę podejmują sąsiadujące państwa. Przykładem jest długoletnia kooperacja w sprawach europejskich państw nordyckich, krajów Beneluksu, albo Grupy Wyszehradzkiej.

Sojusze problemowe mogą nie być trwałe, gdyż mogą się zmieniać w zależności od dyskutowanej kwestii. Ponadto wynikają z bliskości programowej poszczególnych partii rządowych, które po wyborach mogą ulec zmianie, a co za tym idzie – poglądy dotychczasowych sojuszników mogą się całkowicie rozejść. Z kolei współpraca regionalna wydaje się być bardziej stabilną platformą do dyskusji o sprawach unijnych. Stwarza większe możliwości zbliżenia stanowisk między sąsiadami, którzy mają m.in. bliskie więzy kulturowe bądź zbliżoną historię. Nawet jeśli w poszczególnych sprawach sąsiedzi się różnią, ich współdziałanie jest z reguły lepiej zinstytucjonalizowane, opiera się na wspólnym doświadczeniu kooperacji, a tym samym stwarza więcej możliwości na osiągnięcie sukcesu w polityce europejskiej. Współpraca regionalna ma też wymiar geopolityczny, gdyż dotyczy fundamentalnej kwestii władzy w UE, a do-

kładnie tego, kto w największym stopniu wpływa na bieg spraw europejskich. Tego rodzaju współpraca może bowiem wyraźnie wzmocnić głos pojedynczych państw na arenie unijnej, a ma to kluczowe znaczenie dla kształtowania prawa europejskiego.

Sojusze problemowe mogą nie być trwałe, gdyż mogą się zmieniać w zależności od dyskutowanej kwestii

Przykładem takiego właśnie sojuszu jest długotrwała współpraca między Francją i Niemcami. Jest ona przez wielu naukowców uznawana za główny „motor” Unii Europejskiej, który nie tylko napędza procesy integracyjne, ale dodatkowo czyni to w kierunku preferowanym przez oba państwa. W ten sposób geopolitycznym jądrem dla wspólnoty jest tandem francusko-niemiecki. Jednocześnie sojusz ten cechuje duża liczba spraw spornych, jak również rosnący potencjał gospodarczy i demograficzny Niemiec, oraz coraz słabszy – Francji. Do najważniejszych problemów dla współdziałania obu krajów należy zaliczyć reformę strefy euro, gdzie wyraźnie pomysły Paryża, zmierzające do zbudowania tzw. unii transferowej, były przyjmowane z dużym dystansem w Berlinie. Istnieją też różnice w innych politykach unijnych, choć nie są one tak wielkie i nabrzmiałe, jak wobec przyszłości unii walutowej.

Oba kraje mają więc zarówno silną skłonność do wzajemnej współpracy, w tym również wypracowywania kompromisu w spornych tematach, a jedno-

częście szukają wsparcia dla swojej polityki europejskiej w innych państwach UE. Francja najczęściej odwołuje się do krajów Europy Południowej, Niemcy – do państw z Europy Północnej (w tym kiedyś również do Wielkiej Brytanii) i do członków Unii z Europy Środkowej. Przed kilkoma laty jednym z głównych sojuszników Berlina była Warszawa, która nie tylko wspierała niemiecką wizję rozwoju integracji, ale również równoważyła te pomysły francuskie, które nie odpowiadały zarówno rządowi niemieckiemu, jak i polskiemu. Temu w dużym stopniu służyły spotkania Trójkąta Weimarskiego. Pomimo kilkakrotnie podejmowanych prób, Warszawa nigdy nie potrafiła do końca dogadać się z Paryżem, a tym bardziej grać wspólnie z Francuzami w polityce europejskiej przeciwko Berlinowi. W czasie rządów Platformy Obywatelskiej i Polskiego Stronnictwa Ludowego (2007-2015) Polska była więc nie tylko bliskim sojusznikiem dyplomacji niemieckiej, ale wręcz skuteczność w polityce europejskiej Warszawy zależała w dużym stopniu od aprobaty Berlina. W podobny sposób kształtuje się praktyka relacji Berlina z niektórymi innymi państwami Europy Środkowej.

Jest alternatywa?

Jedną z prób zrównoważenia tego aliansu jest powstały pod koniec 2017 roku sojusz państw z Europy Północnej, określane jako Hanza 2.0. Nieformalnym przywódcą tej grupy jest Holandia, oprócz której znalazły się państwa bałtyckie, Finlandia, Dania, Szwecja i Irlandia. Państwa te mają z reguły liberalne podejście do rynku wewnętrznego, jak również sprzeciwiają się wprowadzeniu unii transferowej zarówno w strefie euro, jak i w UE (co oznacza, że generalnie nie są zainteresowane

wzrostem wielkości budżetu unijnego). Mają również sceptyczny stosunek do dotychczasowego modelu integracji europejskiej, polegającego na przyjmowaniu coraz większej liczby regulacji unijnych i wzmacniania uprawnień instytucji wspólnotowych. Holenderski premier Mark Rutte wielokrotnie wskazywał, że należy wprawdzie koncentrować się na rozwiązywaniu problemów, ale już nie na zwiększaniu budżetu unijnego lub kompetencji instytucji europejskich. Rutte kwestionuje także dążenie do powołania europejskiej armii i preferuje utrzymywanie silnej współpracy w ramach NATO. Wszystko to czyni z Hanzy 2.0 ugrupowanie bliskie poglądom opuszczającej wspólnotę Wielkiej Brytanii.

Niektórzy komentatorzy zastanawiali się nawet, czy nowa Hanza nie będzie starała się zrównoważyć geopolitycznie „motoru” francusko-niemieckiego, tym bardziej, że żadne z obu największych państw członkowskich nie zostało zaproszone do tej grupy. Dotychczasowa praktyka funkcjonowania Hanzy 2.0 wskazuje jednak na to, że faktycznie zmierza ona do równoważenia lub wręcz blokowania pomysłów francuskich, a co w dużym stopniu jest zgodnie z interesami Berlina. Przykładem jest kontrowersyjny pomysł prezydenta Emmanuela Macrona w sprawie powołania dużego i osobnego budżetu dla unii walutowej, co zmierzało w kierunku wprowadzenia w strefie euro unii transferowej. Propozycja nie spodobała się politykom nad Sprewą. Niemniej kanclerz Merkel, wielokrotnie przyciskana przez francuskiego prezydenta, w końcu zgodziła się na tę ideę, choć w znacznie okrojonym wymiarze. W tym samym czasie państwa Europy Północnej gwałtownie protestowały przeciwko temu budżetowi. Ich sprzeciw wywołał gniew w Pałacu Eli-

zejskim i ostre spory na spotkaniach unii walutowej, przede wszystkim między dyplomatami francuskimi i holenderskimi. Ostatecznie Hanza powstrzymała impet reformatorski Francuzów. Osiągnięty kompromis z grudnia 2018 roku był jednak zgodny z preferencjami Berlina. Można wręcz uznać, że zamiast Niemców kasztany z ognia wyciągali Holendrzy, gdyż Niemcy

**Jedną z prób
zrównoważenia tego aliansu
jest powstały pod koniec
2017 roku sojusz państw
z Europy Północnej,
określany jako Hanza 2.0**

obawiali się przyczepienia im łatki największych hamulcowych reform w strefie euro. Co więcej, względny sukces państw Europy Północnej był w dużym stopniu możliwy dzięki cichemu wsparciu dla ich rejterady ze strony Berlina. Dlatego trudno uznać, że Hanza 2.0 jest w tym momencie przeciwwagą dla unijnego „motoru”. Stała się raczej instrumentem Berlina w jego unijnej rozgrywce, co przypomina sposób wcześniejszego wykorzystywania przez Niemcy zaprzyjaźnionych z nimi państw Europy Środkowej.

W styczniu pojawiła się jeszcze jedna potencjalna możliwość zbudowania przeciwwagi dla tandemu francusko-niemieckiego w polityce unijnej. Tego typu spekulacje wywołała wizyta wicepremiera Włoch Matteo Salvini w Polsce. Niemniej sojusz polsko-włoski opiera się przede wszystkim na eurosceptycznej i populistycznej „gębie”, którą w dyskursie

europjskim liberalne media przyprawiły rządów w obu krajach. Politycy z tych rządów mają zbliżone poglądy w kilku kwestiach, m.in. odnośnie roli chrześcijaństwa dla katalogu europejskich wartości, powstrzymywania nielegalnej imigracji pozaeuropejskiej, ograniczania władzy instytucji technokratycznych i sądowniczych w UE itp. Są też między nimi kwestie sporne, które mogą utrudnić współpracę (min. stosunek do Rosji i sankcji UE wobec tego państwa). Niemniej zarówno PiS jak i Liga bez wątplenia podzielają alternatywną wizję integracji do tej forsowanej od wielu lat przez „motor” francusko-niemiecki.

Jednak szanse na zrównoważenie lub rozbięcie sojuszu francusko-niemieckiego są póki co niewielkie. Włochy i Polska mają zbyt słabą pozycję w porównaniu do siły politycznej Francji i Niemiec. Wprawdzie polska gospodarka się dobrze rozwija, a Polska, jako jedno z nielicznych państw UE, ma wysokie wskaźniki wzrostu, ale już Włosi stanowią największe zagrożenie dla stabilności strefy euro. Póki co oba państwa mają ograniczone możliwości rozszerzenia swego sojuszu, głównie w wyniku zszarganej reputacji na arenie europejskiej. Sytuacja może się jednak zmienić, kiedy po kolejnych wyborach pojawią się w UE rządy, mające podobne widzenie spraw europejskich co Rzym i Warszawa. Szczególnie, jeśli zmieniliby się rząd we Francji, a nowy gabinet powstał pod kierunkiem (lub w koabitacji z) Marine Le Pen.

Kto wbije klin?

Jak się wydaje, w obecnej sytuacji politycznej w Europie nie ma poważnej alternatywy dla przywództwa francusko-niemieckiego. Funkcjonują wprawdzie

różne sojusze terytorialne, niemniej spośród nich największą władzę sprawuje ten francusko-niemiecki. Pozostałe są mniej stabilne, zbyt słabe, albo wręcz umiejętnie rozgrywane w polityce europejskiej – najczęściej przez Niemcy, rzadziej Francję. Póki co taka sytuacja jest przede wszystkim korzystna dla Berlina, który w obecnej konfiguracji geopolitycznej w UE pełni rolę dominującą (choć nie do końca hegemoniczną).

Tak silnej pozycji Berlina, albo szerzej – tandemu francusko-niemieckiego – mogą zagrozić w najbliższym czasie tylko trzy czynniki. Po pierwsze, spory między Berlinem a Paryżem, na przykład w wyniku poważnego kryzysu gospodarczego w unii walutowej. Po drugie, wzrost znaczenia politycznego tych spośród pozostałych państw UE, które będą kwestionować wizję integracji preferowaną obecnie nad Sekwaną i nad Sprewą. Po trzecie, ingerencja mocarstw pozaeuropejskich na rzecz ograniczenia roli geopolitycznej dotychczasowego „motoru”. Spośród trzech potencjalnych kandydatów (Rosji, Chin i USA) największy apetyt na działanie w tym kierunku wykazuje obecna administracja amerykańska.

Podsumowując dotychczasowe rozważania, należy podkreślić, że w UE duże znaczenie ma współpraca regionalna (terytorialna), mająca cele geopolityczne, czego przykładem jest przede wszystkim trwający dziesięciolecia sojusz Paryża z Berlinem. Wiele wskazuje na to, że po-

mimo różnic między tymi państwami będzie to sojusz mający nadal najwięcej do powiedzenia o przyszłości integracji w nadchodzącym czasie. Pod wpływem kryzysów w Unii, oba wiodące państwa starały się wzmocnić zarządzanie w UE, przede wszystkim narzucając własną wizję rozwiązywania kryzysów lub postępów integracji, jednocześnie zwiększając zakres spraw objętych procedurą głosowania większościowego i następnie wymuszając implementowanie prawa europejskiego m.in. poprzez orzeczenia TSUE. Taki sposób procedowania, choć uzasadniony sytuacją kryzysową, był jednak kontrowersyjny dla coraz większej liczby państw członkowskich. Dlatego w Europie mamy coraz silniej widoczne dwa podziały terytorialne, tzn. między częścią północną i południową strefy euro, oraz między państwami z zachodniej i wschodniej części UE. Widoczne jest również podważanie legitymacji przywództwa niemiecko-francuskiego zarówno przez polityków na Południu, jak i na wschodzie UE. Jest to bezpośrednio powiązane z coraz silniejszymi próbami geopolitycznej autonomii niektórych krajów Europy Środkowej, wspieranej przez mocarstwa pozaeuropejskie. Jeśli się uwzględni wszystkie te uwarunkowania, to perspektywa dalszych procesów integracyjnych w dotychczasowym kierunku i pod obecnym przywództwem jest mimo wszystko wysoce niepewna, zwłaszcza w dłuższym horyzoncie czasu.

Nowa asymetryczna Unia?



MARCIN CHRUŚCIEL

Członek zespołu „Nowej Konfederacji”,
Doktorant nauk o polityce na Uniwersytecie Wrocławskim

W swojej książce „Pokryzysowa Europa. Dylematy Unii Europejskiej” prof. Tomasz Grzegorz Grosse pokazuje, w jaki sposób rozwiązanie kryzysów UE przyczyniło się do zmiany jej modelu funkcjonowania

Najnowsza książka prof. Tomasza Grzegorza Grosse diagnozuje stan Unii Europejskiej po przejściu dwóch największych kryzysów ostatnich lat, jeśli nie w całej historii integracji. Należą do nich kryzys w strefie euro oraz kryzys migracyjny, których nadejście okazało się *gamechangerem* – punktem zwrotnym w procesie integracji europejskiej. Taką tezę stawia w swojej książce prof. Grosse i pokazuje, w jaki sposób rozwiązanie powyższych kryzysów przyczyniło się do zmiany modelu funkcjonowania UE.

Inna integracja

Zdiagnozowana przez autora zmiana ma polegać na odejściu od dotychczasowego modelu integracji europejskiej, który opierał się na równowadze między największymi a mniejszymi państwami członkowskimi, oraz zwiększającej się stopniowo autonomii instytucji ponadnarodowych (m.in. Komisji Europejskiej i Parlamentu Europejskiego), czyli modelu wspólnotowego. Zastępuje go w coraz większym za-

kresie model międzyrządowy i tzw. metoda unijna. A zatem mamy do czynienia z próbą wzmocnienia roli państw i instytucji międzyrządowych (Rady Europejskiej, Rady UE), ale także z zastępowaniem kultury konsensu między państwami UE polityką siły. W tym scenariuszu Komisja przestaje pełnić rolę neutralnego arbitra i orędownika liberalizacji gospodarczej, jej autonomia polityczna słabnie, natomiast rośnie nieformalne podporządkowanie najsilniejszym państwom członkowskim. Ustrój polityczny Unii upodabnia się tym samym do „asymetrycznej konfederacji”, w której dominujące znaczenie mają Niemcy oraz Francja.

Przyjmując optykę prof. Grosse i przyglądając się ingerencji tych dwóch państw w unijne działania antykryzysowe po 2008 roku, odnoszące się zarówno do strefy euro, jak i polityki migracyjnej, powyższe wnioski wydają się uprawnione. Przeszowana przez niemiecki rząd polityka oszczędności wobec krajów strefy euro dotkniętych kryzysem – w szczególności Grecji – czy późniejsza decyzja Rady UE

o przymusowym systemie relokacji uchodźców, były przejawem narzucania politycznej woli największych państw Unii tym słabszym lub znajdującym się w gorszej sytuacji gospodarczej i finansowej. W tym względzie trudno się z autorem „Pokryzysowej Europy” nie zgodzić. Dokonywana przez niego w kolejnych rozdziałach analiza wprowadzonych i proponowanych reform w Unii Gospodarczo Walutowej (UGW) oraz działań Komisji Europejskiej w obrębie rynku wewnętrznego dostarcza kolejnych argumentów na wzmocnienie tej tezy. Problemem przyjętej perspektywy jest natomiast dość wąskie i jednostronne interpretowanie dobranych przykładów.

Jak oceniać Niemcy?

Pierwsze zastrzeżenie dotyczy oceny reform dokonanych w strefie euro po 2010 roku, a w szczególności zachowawczej pozycji Berlina wobec pomysłów daleko idących zmian instytucjonalnych oraz tworzenia nowych instrumentów transferowych w UGW. Brak zgody niemieckich polityków na utworzenie europejskiego systemu gwarantowania depozytów w ramach unii bankowej, na uwspólnotowanie długu zagrożonych niewypłacalnością państw UGW, powołanie osobnego budżetu oraz ministerstwa finansów strefy euro, czy też utworzenie silnego funduszu inwestycyjnego, można interpretować jako przedkładanie dobra niemieckich wyborców ponad solidarność w ramach unii walutowej. W ten sposób postrzega te działania prof. Grosse, posądzając niemiecki rząd o hamowanie niezbędnych reform w UGW i kierowanie się przede wszystkim uwarunkowaniami krajowymi, a nie potrzebą zabezpieczenia unii walutowej na wypadek kolejnego kryzysu.

Traci tym samym z pola widzenia inną interpretację, która niechęć do wzmocnienia instytucji UGW oraz tworzenia wewnętrznych mechanizmów redystrybucyjnych tłumaczy obawą przed pogłębieniem rozdźwięku między państwami UGW a tymi, które do niej nie należą. Taką interpretację wypadłoby przynajmniej rozważyć, szczególnie że w interesie niemieckiej gospodarki (a tym samym niemieckich wyborców) jest istnienie możliwe dużego rynku wewnętrznego – a zatem uniknięcie potencjalnego rozłamu Unii.

Wzrost niechęci społeczeństw Europy Zachodniej do dalszej liberalizacji rynku i związane z tym tendencje protekcyjnistyczne wśród największych państw UE przyczyniły się według prof. Grosse do zmiany strategii Komisji

Moje zastrzeżenia budzi również analiza zmian na rynku wewnętrznym UE po 2008 roku, z której wynika, że kryzys w strefie euro oraz kryzys migracyjny osłabiły autonomię Komisji, a tym samym możliwość realizowania jej dotychczasowej misji pogłębiania swobód gospodarczych na rynku wewnętrznym. Wzrost niechęci społeczeństw Europy Zachodniej do dalszej liberalizacji rynku i związane z tym tendencje protekcyjnistyczne wśród największych

szych państw UE przyczyniły się według prof. Grosse do zmiany strategii Komisji. Pokryzysowa Komisja w większym stopniu otworzyła się na protekcyjnistyczne preferencje tych państw – w szczególności Francji i Niemiec – a także praktyki regulacyjne, które umożliwiają sterowanie tym, kto będzie bardziej, a kto mniej konkurencyjny na rynku wewnętrznym. Na

Ostatnie zastrzeżenie, które nasuwa się po lekturze książki prof. Grosse, dotyczy próby uchwycenia zjawisk dezintegracyjnych w UE po 2008 roku

uzasadnienie takiego stanu rzeczy autor przytacza przykłady działań regulacyjnych z ostatnich lat, które wyraźnie faworyzowały firmy pochodzące z państw o wysokim poziomie regulacji i silnych związkach zawodowych, głównie z Europy Zachodniej. Wskazuje w tym kontekście m.in. na dyrektywę o pracownikach delegowanych, przyjęcie Europejskiego filaru praw socjalnych, jak również przykład zwlekania Komisji z podjęciem działań przeciwko rozbudowie Gazociągu Północnego, w którą zaangażowane są koncerny energetyczne z największych państw UE. Wysłanie daleko idących wniosków z szeregu indywidualnych działań wydaje się jednak przedwczesne. Tezę o otwarciu się Komisji na praktyki protekcyjnistyczne i sprzyjanie największym państwom członkowskim należałoby zweryfikować na podstawie bardziej systemowych badań, które obejmują całokształt działalności unijnej eg-

zekutywy. Pod tym względem szkoda, że prof. Grosse nie mógł uwzględnić w swojej książce wyników raportu PIE o protekcyjnym gospodarstwie w UE, który ukazał się już po wydaniu „Pokryzysowej Europy”. Wynika z niego chociażby to, że począwszy od 2005 roku Komisja kwestionuje pomoc publiczną udzielaną w państwach „starej” Unii proporcjonalnie o wiele rzadziej niż w przypadku krajów „nowej” UE. Szczególnie uprzywilejowane są przy tym duże kraje – ponownie Niemcy i Francja.

Co dalej z Unią?

Ostatnie zastrzeżenie, które nasuwa się po lekturze książki prof. Grosse, dotyczy próby uchwycenia zjawisk dezintegracyjnych w UE po 2008 roku. Podjęcie się tego zadania wydaje się uzasadnione w kontekście skali kryzysów, które dotknęły Unię na początku XXI wieku. Kontrowersyjne jest natomiast wykorzystanie do tego celu koncepcji historiozoficznej Arnolda Toynbeego, która opisuje procesy wzrostu i upadku cywilizacji w długim trwaniu. Rozpatrywanie Unii Europejskiej jako ostatniego stadium cywilizacji europejskiej – próby zbudowania państwa uniwersalnego – wydaje się co najmniej ryzykowne. Tym bardziej, jeśli przyjmiemy za autorem, że obecny model integracji europejskiej zmierza w kierunku „asymetrycznej konfederacji”, której celem nie jest budowa organizmu o charakterze państwowym na maksymalnym obszarze oddziaływania danej cywilizacji. Do takiej refleksji skłaniają chociażby aktualne koncepcje integracji europejskiej reprezentowane przez przywódców Francji i Niemiec, a zatem koncepcja „Europy dwóch prędkości” oraz „Europy wielu prędkości”. Obie wpisują się w model zróżnicowanej integracji, który odchodzi od dążenia do

pełnej harmonizacji polityk państw członkowskich. Można na tej podstawie przypuszczać, że charakterystyczne dla państwa uniwersalnego zjawisko *hybris*, czyli zbyt wielkich ambicji, które są nieadekwatne do rzeczywistych możliwości, zostało w ramach UE tymczasowo przezwyciężone.

Te uwagi nie wpływają w żaden sposób na jakość prognozy, którą autor przeprowadza w ostatniej części książki. Przyszłość Unii jest rozpatrywana za pomocą kilku koncepcji teoretycznych, co stanowi moim zdaniem główny walor poznawczy całej pracy. Uzyskujemy dzięki temu zaobiegowi obraz, w którym proces integracji następuje w czterech głównych kierunkach. Władza polityczna w Unii jeszcze bardziej skupia się w największych państwach członkowskich, zwłaszcza w Niemczech i we Francji, co prowadzi do pogłębienia się asymetrycznych relacji wewnątrz Wspólnoty. Następuje dalsze delegowanie władzy do instytucji technokratycznych, m.in. Komisji i Europejskiego Banku Cen-

tralnego, które pozostają jednak pod nieformalnym wpływem największych państw. Podstawowym problemem UE w kolejnych latach jest zwiększający się deficyt demokratyczny. Działania dyscyplinujące wobec państw opornych przed wdrażaniem unijnych polityk przybierają na sile. W efekcie kryzysów Unia zmierza w stronę większej skuteczności zarządzania, ale kosztem zmniejszenia podmiotowości mniejszych krajów. Niezależnie od tego, czy prognoza oparta na bazie ostatnich tendencji w UE się potwierdzi, czy też kierunki integracji zostaną odwrócone, w interesie polskiej racji stanu jest przygotowanie strategii na wypadek realizacji tego (niekorzystnego dla nas) scenariusza. „Pokryzysowa Europa” prof. Grosse stanowi pod tym względem cenny i ważny punkt odniesienia.

Tomasz Grzegorz Grosse, *Pokryzysowa Europa. Dylematy Unii Europejskiej*. PISM, Warszawa 2018, ss. 313

Polityczny iPhone

Z dr hab. Robertem Gwiazdowskim
rozmawia Stefan Sękowski



ROBERT GWIAZDOWSKI

Doktor habilitowany nauk prawnych, adwokat i doradca podatkowy, wykładowca Uczelni Łazarskiego, były prezydent Centrum im. Adama Smitha, prezes Rady Fundacji Warsaw Enterprise Institute

Dla przedsiębiorców mam propozycję zmiany systemu podatkowego – nie żadne 3x15, albo ogólne „uprościmy”, tylko konkrety. Dla samorządowców też mam konkretny projekt: im więcej władzy i pieniędzy idzie w dół do samorządów, tym lepiej dla państwa

Zdaje sobie pan sprawę z tego, że najbliższe miesiące mogą wyglądać tak: może pan mówić o podatkach i emeryturach, ale najważniejszymi tematami i tak będą związki partnerskie, aborcja czy in vitro.

Wiedziałem, że dziennikarze będą o to pytali. A ja się zwracam do tych, którzy nie chcą o tym słuchać. Nie powiem, kto za mną stoi, bo mam umowę: chcesz spróbować to spróbujmy. Idź pierwszy, jak ci łba nie urwą, to wtedy, gdy już nie będą nas pytać o te wszystkie tematy obyczajowe, będziemy mówić o energetyce, cyberbezpieczeństwie czy prawach autorskich.

Jednak dobrze by było wiedzieć, kto za panem stoi, żeby wiedzieć, czy jest pan samosterowny.

Wystarczy zobaczyć, co mówiłem jako przewodniczący Rady Nadzorczej ZUS, powołany przez premiera. Mam dobry track record.

Czy prawdziwe są te doniesienia, że w pana inicjatywę zaangażowani są Bezpartyjni Samorządowcy, czy pana środowisko, czyli WEI?

Rozmawia się z tymi, do których człowiekowi jest najbliżej. Środowisko przedsiębiorców jest moim naturalnym zapleczem. Jest mnóstwo przedsiębiorców należących do ZPP. Jeśli się okaże, że ten projekt ma potencjał, porozmawiam z Cezarym Kaźmierczakiem, czy wolno do tego wykorzystać do tego struktury ZPP. Ktoś musi czarną robotę wykonać, a nie zrobić tego drugą nogą mojego zaplecza, czyli naukowcy. Oni mogą zaproponować

jakiś pomysł, ale nie zorganizują podpisów. Też chcę współpracować z Bezpartyjnymi Samorządowcami, z prostego powodu: nauczyciel moich dzieci startował z list Bezpartyjnych Samorządowców i mama moich dzieci na niego zagłosowała, choć normalnie nie głosuje, tak jak ja. BS mogą być silną „trzecią nogą” mojej inicjatywy.

Ostatni raz głosowałem w 1997 roku na Akcję Wyborczą „Solidarność”, by odsunąć postkomunistów od władzy, ale gdy zobaczyłem, jak rządzą, to przestałem głosować

Mam dla nich ofertę, jak dla wszystkich. Dla przedsiębiorców mam propozycję zmiany systemu podatkowego – nie żadne 3x15, albo ogólne „uprościmy”, tylko konkrety. Dla samorządowców też mam konkretny projekt. Delegacja – im więcej władzy i pieniędzy idzie w dół do samorządów, tym lepiej dla państwa. Drodzy samorządowcy, bez względu na to, czy jesteście w Bezpartyjnych Samorządowcach, czy nie, nawet jeśli startowaliście z lokalnych komitetów, mam dla was propozycję: zajmujcie się swoimi małymi ojczyznami, ja zadbam o to, by nasza duża ojczyzna nie wchodziła Wam w szkodę.

Czy pana filozofia budżetowa nie jest sprzeczna z praktyką funkcjonowania bardzo wielu samorządów? Wiele samorządów ma problemy z ogromnym zadłużeniem.

Filozofia tak, bo jestem przeciwnikiem bezmyślnego zadłużenia. Ale to zadłużenie bierze się z tego, że rząd wyznacza samorządom obowiązki, ale nie daje na nie pieniędzy. Więc jeśli samorządowcy chcieli zrobić coś, co obiecali, musieli się zadłużyć. W wielu przypadkach nadmiernemu zadłużaniu winien jest rząd.

Po stronie wolnorynkowej robi się tłoczno – jest Korwin, Kukiz, Marek Jakubiak wchodzi w koalicję z Markiem Jurkiem...

Gdy mówiłem, że nie głosuję, podnosił się rejwach, że nie mam w takim razie prawa krytykować. Ale i byli tacy, którzy mówili: dobrze, że pan to powiedział, my też nie chodzimy na wybory. Gospodarka w sensie liberalnym jest gospodarką podażową. Keynes mówił, że obalił prawo Saya i że mamy się skupiać na konsumencie i popycie. Przypomnę, że nie było popytu na iPhone’a, póki Steve Jobs nie położył go na stole. Na rynku idei i ruchów politycznych jest dokładnie tak samo. Być może duża część wyborców bojkotuje wybory, bo nie ma na kogo głosować. Więc mówię: zobaczcie, kładę coś takiego na stole – nie wiem, czy to jest iPhone – i zobaczymy, czy wam się spodoba. To nie obietnice, tylko konkrety: projekt Konstytucji, reformy podatkowej, szkolnictwa, czy wymiaru sprawiedliwości.

Czy ten iPhone to jednak nie jest upgrade’owany pager lub komórka starego typu? Pojawiają się argumenty, że Gwiazdowski to taki Korwin, tylko bez wygłupów.

Liberalizmu uczyłem się od Korwina, gdy w stanie wojennym wydawał w Oficynie Liberalistów Friedmana, Hayeka czy Misesa.

Głosowałem na Korwina w 1991 i 1993. Był jednym z powodów, dla których nie wszedłem do polityki. Startowanie przeciwko niemu zawsze spotykałoby się z zarzutem, że odbieram mu głosy. Tylko że przez tyle lat nie odbierałem mu głosów – i nic się nie zmieniło. Ostatni raz głosowałem w 1997 roku na Akcję Wyborczą „Solidarność”, by odsunąć postkomunistów od władzy, ale gdy zobaczyłem, jak rządzą, to przestałem głosować.

Mówimy teraz o prehistorii aktualnej polityki.

Wszystko ma swoje korzenie i źródła.

A Korwin jest wieczny i będzie mu pan zabierał głosy.

Dlatego kandyduję, bo ja się starzeję, a Korwin nie, i nie doczekam momentu, w którym nie będzie Korwina na scenie politycznej.

Dlaczego ludzie mieliby zagłosować na Gwiazdowskiego, a nie na ugrupowanie Korwin-Mikkego?

Bo u Gwiazdowskiego mogą przeczytać konkretne projekty Konstytucji, systemu emerytalnego, podatkowego, szkolnictwa i zaraz będzie konkretny projekt wymiaru sprawiedliwości. Mogą fascynować się tym, jak Korwin się przebiera na ulicy, albo przeczytać to, co leży na stole. Rynek polityczny jest quasi-rynkiem. To tak, jakby pan mówił komuś, kto założył fabrykę krawatów, że odbiera klientów temu, kto ma już starą. Niech zdecyduje konsument. Korwin-Mikke rozwiązał też ewentualne sentymenty i skrupuły, gdy Wolność weszła w koalicję z Ruchem Narodowym.

Nie ma szans, by idee liberalne mogły być zgodne z ideami nacjonalistycznymi.

Mówi pan, że przede wszystkim ma pan dość zajmowania się tematami nieistotnymi dla interesu państwa. Podobnie mówi Robert Biedroń.

Nie tylko Robert Biedroń. Adrian Zandberg mówi to samo. Konkurujemy, ale przestańmy się nienawidzić. Zandberg mówi o tym, czy mamy stawiać na atom, czy węgiel, czy mamy być bliżej Unii Europejskiej, czy Ameryki. Ja mówię: właśnie o tym rozmawiajmy. Bliżej mi do ich formy, w której zajmują swoje stanowisko. Robert Biedroń stanął pod pręgierzem Koalicji Obywatelskiej, czy jak oni się teraz nazywają – że rozbija jedność opozycji. Mnie się stawia pod pręgierzem, że rozbijam jedność wolnorynkowców. W tym sensie stoimy w tym samym miejscu.

Najbliższe będą wybory europejskie. Jakie jest pana stanowisko wobec UE?

W 2004 roku z Andrzejem Sadowskim z CAS mówiliśmy, że między euroentuzjastami a eurosceptykami zajmujemy pozycję pośrednią: jesteśmy eurorealistami. Dziś mówię to samo. Jesteśmy za Unią Europejską, przeciwko Unii eurokratycznej. Od czasu referendum nasza Unia stała się mniej europejska, bardziej eurokratyczna. Nasi politycy nie byli w stanie się temu sprzeciwić, choć mieli na to okazję. Nie jestem zwolennikiem Polesitu, bo jeśli zrywa się z dziewczyną lub chłopakiem, to zazwyczaj wtedy, gdy ma się gdzie pójść. A my nie mamy gdzie pójść. Jeśli ktoś mi opowiada, że będziemy liderem Międzymorza, to ja się go pytam: czy spytałeś jakiegoś Czecha, Słowaka lub Litwina, co oni o tym sądzą, by zastąpić

Niemców, których mają w UE, nami w Międzymorzu? Uważam, że nasi europosłowie po wyborach powinni usiąść przy okrągłym stole, przyjrzeć się działaniu Komisji Europejskiej i zastanowić się: czy z punktu interesu Polski lepiej by było, byśmy byli w jednej frakcji, czy kilku?

Pomińmy kwestię, że frakcje są podzielone ideologicznie, to jednak by stworzyć jedną frakcję nie wystarczą posłowie z jednego państwa.

Nowa układanka pojawi się po wyborach, ale to nie jest tak, że jeśli PO idzie do jednych, to my musimy do drugich.

Kandyduję, bo ja się starzeję, a Korwin nie, i nie doczekam momentu, w którym nie będzie Korwina na scenie politycznej

Nawet jeśli tak to by wyglądało, to można powiedzieć: nie wkłada się wszystkich jajek do jednego koszyka.

Mamy plan operacyjny KE na najbliższe 5 lat. Polscy eurodeputowani mogą sobie odhaczyć, co jest najważniejsze dla Polski, i w tych kwestiach się wspierać. Mogą się podzielić robotą w europarlamencie w różnych frakcjach. One mają swoje punkty — w zależności od tego, jak są duże, mogą wykorzystywać je do kierowania pracami ustawodawczymi w PE. Jest oczywiste, że największy wpływ na prace ma europoseł, który nimi kieruje. Liczba spraw,

którymi może kierować dana frakcja, jest ograniczona, ale liczba punktów danej frakcji też jest ograniczona. Dlatego trzeba to samo zaplanować, a nie później mówić: jak my coś chcemy, to nic, a gdy Niemcy coś chcą, to to otrzymują.

Jednak polscy europosłowie różnią się między sobą w podejściu do tego, jak powinna wyglądać polityka UE.

Dlatego trzeba wybrać rzeczy, w których mamy wspólne stanowisko. Nie ma sensu budować jedności na siłę. Choćby sprawa stosunku do Nord Streamu.

Akurat w kwestii dyrektywy gazowej, wymierzonej w Nord Stream 2, sprawozdawcą jest Jerzy Buzek.

Ale PiS swoje punkciki też na tym skoncentrował, a punkcików na dyrektywę o pracownikach delegowanych nie starczyło. Tu potrzebna jest pragmatyka myślenia.

Do jakiej frakcji panu najbliższej?

Mi do żadnej, natomiast gdybym był teraz w PE, to z punktu widzenia interesów politycznych moich wyborców najlepiej byłoby zapisać się do Europejskiej Partii Ludowej. Czy by mnie przyjęli, to inna sprawa. Ale co będzie po następnych wyborach, to się dopiero okaże.

Unia Europejska potrzebuje nowego traktatu?

Mam dla UE fantastyczną strategię, czyli Strategię Lizbońską, która obowiązywała, gdy ja głosowałem za akcesją. Także Traktat z Maastricht zawierał dobre rozwiązania. Trzeba realizować ideały, które

stały u źródeł UE. Ojcowie-założyciele UE mieli korzenie katolicko-liberalne, później UE poszła w stronę socjalistyczną.

Powinniśmy się więc cofnąć do tych czasów?

Myśli pan, że polska delegacja razem z włoską doprowadzą do uchwalenia nowego traktatu?

Nie wiem, ale pytam o pana pogląd. Napisał pan projekt Konstytucji, na jej uchwalenie też potrzeba odpowiedniej większości.

Więcej kompetencji powinniśmy pozostawić Radzie Europejskiej kosztem Komisji Europejskiej. RE składa się z przedstawicieli wybranych przez obywateli, a KE nominowanych. Zbyt duży zakres władzy KE nie jest dobry, dlatego nie powinniśmy dawać Komisji kolejnych instrumentów do decydowania, jak mają zachowywać się narody w swoich własnych państwach.

My nie mamy żadnego wpływu na to, co robią Donald Trump i Xi Jinping, ale musimy się jakoś odnaleźć w czasach narastającego konfliktu (póki co handlowego) między USA a Chinami.

Nie powinniśmy się stawać wasalem USA, a stawanie się wasalem wobec akurat tego prezydenta może być tym gorsze, że może spotkać się z retorsjami ze strony Demokratów, gdyby wygrali wybory.

Nasz rząd jest zbyt protrumpowski?

Chyba tak, pokazuje to choćby sprawa Huawei. Skoro Pan Bóg rzucił nas w miejsce między Niemcami a Rosją, to musimy kombinować i być elastyczni. Musimy

prowadzić do tego, by jak najwięcej światowych graczy miało w Polsce jak najwięcej interesów. Jak nie będą mieli żadnego, bo Chrystus jest Królem Polski i sobie jakoś poradzimy, to wystarczy, że ktoś machnie ogonem i nas nie ma. Ale powinniśmy chcieć, by w Polsce interesy mieli Amerykanie, Rosjanie, Niemcy, Chińczycy, może nawet kraje Bliskiego Wschodu. Prawdopodobieństwo, że oni wszyscy razem sprzymierzą się przeciw Polsce, jest stosunkowo niewielkie, a gdy ktoś będzie miał tu interesy, to będzie ich bronił.

Nie przecenia pan gospodarki? Gdy spojrzeć na historię, zdarzały się sytuacje, że – mimo, że np. przed I wojną światową relacje gospodarcze były między państwami bardzo zacieśnione – dochodziło do konfliktów militarnych.

Patrzmy, jak wobec tego konfliktu zachowują się Rosja czy Niemcy. Każdy z wielkich graczy stara się grać na kilku fortepianach.

Polityka wielowektorowa – to brzmi dobrze, ale czy nas na to stać, byśmy nie byli wasalem USA, które zapewniają nam teraz bezpieczeństwo? Ani UE, ani tym bardziej my sami nie bylibyśmy sobie go w stanie zapewnić.

Wyobraża pan sobie, że w sytuacji konfliktu amerykańsko-chińskiego któreś z tych państw nie będzie chciało przeciągnąć na swoją stronę Rosji? Sojusz chińsko-rosyjski jest czarnym snem Amerykanów, którzy zgodnie z doktryną Monroe nie chcą, by na kontynencie euroazjatyckim powstała siła zdolna im zagrozić. Gdyby Amerykanie chcieli przeciągnąć

na swoją stronę Rosję, ta może postawić warunki i powiedzieć: *kurica nie ptica, Polska nie zagranica*. Trump nie powie wtedy: „No nie, Polacy zorganizowali nam konferencję bliskowschodnią, więc nie możemy oddać Polski Rosji, tylko opowie się za doktryną Monroe”.

Jak zadbać o polską obronność? Większymi wydatkami? To postulat ZPP i WEI.

Nie tylko. Bo przepalić można wszelkie pieniądze i to nie tylko w Polsce. Wydatki możemy racjonalizować, ale żeby to robić, potrzebujemy doktryny obronnej, której – o ile wiem – nie mamy. Doktryna wojskowa USA jest niezmienną od czasów Monroe, Rosji od czasów Piotra Wielkiego, a my jej nie mamy. Ja się na tym nie znam, więc nie będę mówił, czy zakup tej czy innej broni jest sensowny. Te zakupy można oceniać z punktu widzenia realizacji doktryny. Gdy się ją zna, wystarczy wejść na strony internetowe producentów i przeczytać, do czego ta broń służy. Ale najpierw powinniśmy sformułować doktrynę.

Czy powinniśmy odwieść pobór do wojska?

Jestem absolutnie przeciwnikiem powszechnego poboru. Armia powinna być zawodowa. Szkolenia wojskowe dla chętnych – jak najbardziej i oczywiście pobór powszechny w czasie wojny.

W projekcie Konstytucji można przeczytać, że „w czasie mobilizacji służba wojskowa jest obowiązkiem każdego obywatela bez względu na przekonania moralne czy religijne”. To nie jest furtka, by wprowadzić bezterminową mobilizację?

Prezydent rzeczywiście może oszaleć, nie byłby pierwszy taki przypadek, i uznać, że kraj znajduje się w ciągłym niebezpieczeństwie, ale nie da się tego inaczej zrobić. Zresztą, można służyć w wojsku nie strzelając.

Jak żołnierz ma być przygotowany do wojny, jeśli nie przejdzie szkolenia?

Ja bym swojego syna wysłał na szkolenie. Ale pomyśl, by służył w czasie pokoju pod jakimś Misiewiczem, mi nie odpowiada.

Jestem absolutnie przeciwnikiem powszechnego poboru. Armia powinna być zawodowa. Szkolenia wojskowe dla chętnych – jak najbardziej i oczywiście pobór powszechny w czasie wojny.

Pańskie propozycje podatkowe nie są przestarzałe? To zmodyfikowany program śp. Krzysztofa Dzierżawskiego, który zmarł 15 lat temu.

Wszystko, co mówiliśmy 25 lat temu, się sprawdziło. Podatek dochodowy prowadzi tylko do konfliktów społecznych i nie przynosi dużych wpływów, obłożenie pracy różnymi składkami doprowadziło do masowego bezrobocia – dziś go nie

ma, bo mamy dobrą koniunkturę, ale było i wróci. Wpadliśmy też w problemy z demografią. Mamy te problemy i dlatego te propozycje są cały czas aktualne.

Osoby, które wczytują się w te programy, to nie za mało, by wygrać wybory albo osiągnąć sensowny wynik?

Trudno. Podjąłem ryzyko. Spróbuję wejść do polityki, ale na innych zasadach. Jak się nie uda, to się nie uda. Przecież nie będę z siebie robił idioty, mam za dużo do stracenia. Chcę być nadal adwokatem i chcę, by ludzie do mnie przychodzili ze względu na mój profesjonalizm.



STEFAN SĘKOWSKI

Zastępca Dyrektora „Nowej Konfederacji”,
kierownik sekcji Publicystyki

Po co nam taka szkoła?



PIOTR JESIONOWSKI

Anglista i socjolog, nauczyciel z 16-letnim stażem.

Od 15 lat prowadzi własną szkołę języka angielskiego „Hi School”

Źródeł naprawy szkoły nie należy szukać w zmianie kanonu lektur czy walką z wykluczeniem płciowym, ale w rewolucyjnej zmianie podejścia do programów nauczania

Polska szkoła stoi na krawędzi. Niedofinansowana, systemowo źle prowadzona, zarzucana coraz to nowymi obowiązkami, a przede wszystkim całkowicie nierozumiana przez instytucje nią kierujące oraz środowiska naukowe. Pozostawiona zatem sobie, polska szkoła musi zmierzyć się z problemami, o którym zamknięte decydenckie grupy milczą. Czy sobie poradzi? Zapewne tak, ale niestety nie bez szkód dla niej samej, a co za tym idzie – przede wszystkim dla Polski.

Kolejne rządy i zmieniający się ministrowie proponują coraz to nowe rozwiązania, które mają usprawnić i polepszyć jakość polskiego szkolnictwa. Reformy te są powszechnie krytykowane przez jedne środowiska, a chwalone przez inne. Dyskurs edukacyjny został zdominowany przez propozycje doboru lektur czy wyrównywaniu szans edukacyjnych. A płomienna rozmowa różnych środowisk jest o tyle interesująca, co zupełnie niewpływająca na istotę problemu. Żadna bowiem ze stron nie zadaje elementarnego pytania: po co ma być szkoła? A bez odpowiedzi

na nie, nie ma mowy o silnym, prężnym państwie.

„Jacyś” nauczyciele nie wystarczą

Szkoła powinna wyposażyć ucznia w elementarny edukacyjno-kulturowy kod, dzięki któremu obecni uczniowie w dorosłym życiu będą dobrze wykonywali potrzebne społecznie zawody, zakładali firmy, byli ich prezesami czy pracownikami. Umiejętności nabywane w szkole mają zatem prowadzić do faktycznego uobywatelnienia ucznia, wzrostu świadomości bycia potrzebnym na rynku pracy, ale także – co równie istotne – we wspólnocie; a co za tym idzie – świadomości potrzeby edukacji, która prowadzić powinna w kierunku stawiania się lepszym pracownikiem i obywatelem. Polska szkoła musi tak przygotować ucznia, aby ten w pośredni lub bezpośredni sposób przyczynił się do wzrostu PKB oraz rozwoju państwa. Dobrze bowiem rozwinięte, bogate państwo zapewni naszym dzisiejszym uczniom dostatnie i bezpieczne życie, na

które wszyscy będziemy pracować. W obecnym systemie nieczęsto myśli się o uczniu jako o beneficjencie i podmiocie jego własnej edukacji, a szkołę trzeba po prostu jakoś przetrwać, licząc na to, że w późniejszym czasie zbieg okoliczności będzie na tyle łaskawy, iż pozwoli jakoś w tym dorosłym życiu sobie poradzić. Tylko, po co komu taka szkoła?

Polska szkoła wymaga gruntownej reformy, konsultowanej ze środowiskiem nauczycieli i to niekoniecznie tych z wielkich ośrodków miejskich. Również, a może przede wszystkim, ze szkół w Limanowej, Ostrowcu Świętokrzyskim, Koszalinie czy Sianowie

Problem ten pierwsi zauważają sami nauczyciele oraz dyrektorzy. Nierzadko dokonują cudów edukacyjnych, zaszczepiając w młodych ludziach pasję i próbując pokazać, że za zmieniającym się w błyskawicznym tempie światem może również zmienić się wiedza o nim. Często wspomniani dyrektorzy i nauczyciele pozostawieni są sami sobie w swojej próbie zmiany polskiej edukacji. Jeśli do tego dodamy dramatyczną sytuację finansową szkolnictwa, skandaliczne zarobki nauczycieli, brak funduszy na elementarne przybory, tablice, czy nierzadko Internet, to tylko geniuszowi organizacyjnemu oraz ciężkiej

pracy dyrektorów i kadry pedagogicznej zawdzięczamy, że nasze dzieci mają szansę na przyzwoitą edukację. Niestety i ta iskierka powoli gaśnie.

Obecny system zatrudniania nauczycieli, ich awansu, oceniania oraz wynagradzania spowodował, że mamy do czynienia z weryfikacją negatywną. Szkoła, w szczególności ta ponadgimnazjalna, cierpi na brak dopływu młodej, świeżej, nauczycielskiej krwi. Według Kuratorium Oświaty w Warszawie, od kwietnia 2017 roku dyrektorzy zgłosili ponad trzydzieści osiem tysięcy ogłoszeń, w których poszukują nauczycieli. Anna Kij z Kuratorium Oświaty w Katowicach potwierdza, że w ich bazie znajduje się 400 ofert dla pedagogów; podobnie jest w okręgu małopolskim (800 ofert) oraz innych regionach. Dwudziestolatkowie, którzy rozumieją, na czym polega problem polskiej szkoły i mogliby mieć realny wpływ na jej zmianę, omijają zawód nauczyciela szerokim łukiem. Najlepsi, najbardziej kreatywni trafiają do branży prywatnej. Już teraz brakuje młodych matematyków, fizyków, chemików czy nauczycieli języków obcych. Za kilka lat ten sam problem zacznie dotyczyć nauczycieli przedmiotów humanistycznych, a za kolejne kilka lat, kiedy obecni pedagogowie odejdą na emerytury, staniemy przed wizją upadku dobrego szkolnictwa. Spokojnie, jacyś nauczyciele się znajdują, ale czy chodzi nam o „jakichś”?

Nie ma nauki bez błędów

Zmiana systemowa w polskim szkolnictwie, prawdziwa, nie prowizoryczna, proponowana przez kolejne ekipy rządzące, jest konieczna. Dyrektorzy i nauczyciele muszą uzyskać praktyczne wsparcie ministerialne oraz intelektualne. Potrzebne jest odejście od fetyszu podstawy progra-

mowej czy od represyjnego systemu oceniania. Nie może w nowoczesnej edukacji być miejsca na sytuacje, kiedy po praktycznym wprowadzeniu nowego czasu gramatycznego na języku angielskim, kiedy to uczniowie, zgodnie z neurodydaktyką oraz zaangażowaniem nauczyciela zaczynają, choć jeszcze z błędami, sami tworzyć swoje wypowiedzi – otrzymają sztywną, wynikającą z systemu oceniania ocenę. Według obecnego bowiem systemu każdy uczeń popełniający błąd zostanie ukarany gorszym stopniem. I to tylko za to, że spróbował znaleźć poprawną odpowiedź. Nie ma przecież nauki języka bez robienia błędów, a system ocen skutecznie odstrasza od podjęcia próby. Klasyczna ocena nie może pojawić się na lekcji matematyki, kiedy nauczyciel tak organizuje lekcję, aby uczniowie szkoły podstawowej rozszyfrowali skomplikowany system ciągów matematycznych, tylko im znanymi sposobami, często myśląc na tyle niesztampowo, że według sztywnego systemu oceniania nie mogą dostać oceny celującej (tak, dobrzy nauczyciele potrafią zaszcześcić u tak młodych uczniów chęć i potrzebę rozwijania takich umiejętności). A od wspomnianego już fetyszu konieczności realizowania podstawy programowej czy represyjnemu systemowi ocen bardzo już blisko do szkoły rodem z teledysku do „Another brick in the wall” zespołu Pink Floyd.

Polska szkoła wymaga gruntownej reformy, konsultowanej ze środowiskiem nauczycieli i to niekoniecznie tych z wielkich ośrodków miejskich. Również, a może przede wszystkim ze szkół w Limanowej, Ostrowcu Świętokrzyskim, Koszalinie czy Sianowie. Ministerscy eksperci oraz środowisko uniwersyteckie muszą zauważyć powagę sytuacji, którą sami sprowokowali poprzez brak zrozumienia, do czego szkoła

ma służyć. A wskazywanie, że problemem są te, a nie inne lektury w drugiej klasie liceum, czy forsowane przez środowiska lewicowe tezy o wyrównywaniu szans oraz stereotypach płci na lekcjach języka polskiego, pogarszają i tak nieciekawą sytuację polskiego szkolnictwa, zamazują bowiem istotę problemu, który tkwi w fatalnym systemie.

Bez ideologicznych krucjat

Dzisiejsze reformowanie edukacji to zmiany kosmetyczne, choć wprowadzane z wielkim szumem medialnym. Edukacyjni eksperci przepychają kolanem kolejne propozycje, które sprawiają, że praca w szkole staje się coraz trudniejsza i odstrasza kolejne osoby od zawodu nauczyciela. Środowiska konserwatywne, walcząc o te, a nie inne lektury w drugiej klasie liceum, zapomniały o rzetelnej edukacji. Zapomniały, lub nie są świadome, że dzisiejszy świat wymaga od młodego człowieka elastycznej umiejętności radzenia sobie w skomplikowanej rzeczywistości zawodowej. Zapomniały, że konserwatywne wartości to nie jedyny aspekt dobrego nauczania. Środowiska te, prowadząc krucjaty przeciwko ideologizacji szkolnictwa przez środowiska lewicowe, tracą szansę na wpływ na dobre wykształcenie młodych obywateli. Grupy lewicowych intelektualistów z kolei na siłę dążą do zbudowania szkoły opartej na wyrównywaniu szans, między wierszami wyczytać jednak można chęć wprowadzenia ideologii tylnymi drzwiami, próby przekabacenia młodego człowieka na swoją stronę. Dlatego z jednej strony elity intelektualne, które z wielkim pietyzmem wypowiadają się o nowoczesnym szkolnictwie, a od których w dużej mierze zależy kierunek, w jakim będzie szło szkolnictwo w Polsce, chcą szkoły,

w której uczniowie otrzymają czysto konserwatywne wychowanie. Ich lewicowi oponenti prowadzą w tym czasie nic niezmieniające, jeśli nawet nie szkodzące polskiej edukacji dysputy o stereotypowym postrzeganiu uczniów na tych, czy innych lekcjach. Ideologizacja dyskursu nie polepsza jakości polskiej szkoły, a dyrektorzy i nauczyciele i tak wiedzą, że problemy leżą zupełnie w innym miejscu. Środowiska intelektualne, zamknięte w swoich bańkach, niepotrafiące wysłuchać argumentów drugiej strony, nie mają jednak najmniejszego zamiaru nimi się zajmować. Co więcej, nie wychylając głów poza Warszawę, zdają się nie mieć pojęcia o ich istnieniu.

Typ idealny to nauka bez stratyfikacji klasycznej, tzn. bez konieczności uczęszczania na zajęcia ze swoim rocznikiem

Jednym z najbardziej palących problemów, z którym szkoła bez pomocy ministerstwa sobie nie poradzi, jest liczebność klas. W wywiadzie udzielonym „Gazecie Wyborczej” dr Urszula Sajewicz-Radtke ze Szkoły Wyższej Psychologii Społecznej w Sopocie zauważa, że w regionie gdańskim sytuacja, w której do jednej klasy chodzi 35-37 osób jest bardzo częsta. Podobnie jest w wielu polskich szkołach, w szczególności ponadgimnazjalnych. W tej chwili normą jest klasa dwudziestoosobowa. Taka liczba uczniów, dodatkowo w żaden sposób niedzielona ze względu na poziom umiejętności, prowadzi do sytuacji, kiedy nauczyciel mając

do zagospodarowania czterdzieści pięć minut lekcji, tak naprawdę jest w stanie realnie dotrzeć do grupki uczniów; lwią część klasy po prostu przesiedzi zajęcia, wierząc, że popołudniowe korepetycje pomogą w zrozumieniu tematu. Mniej liczne klasy to oczywiście obciążenie dla organu prowadzącego szkołę, ale jeśli nie pojmiemy, że szkoły z założenia jest deficytowa w bezpośrednim ujęciu, a dopiero dobrze wykształcony przyszły pracownik przyczyni się do rozwoju państwa, a zatem pozwoli na większe dofinansowanie szkół, będziemy latami mieć do czynienia z pseudoedukacją.

Dzielmy inaczej klasy

Wspomniany już wcześniej podział uczniów ze względu na ich poziom jest kolejnym elementem dobrej edukacji. Typ idealny to nauka bez stratyfikacji klasycznej, tzn. bez konieczności uczęszczania na zajęcia ze swoim rocznikiem. W praktyce uczniowie, którzy mieliby możliwość uczęszczania na zajęcia z dziećmi starszymi, będąc do tego intelektualnie przygotowanymi, zmobilizowaliby się do cięższej pracy, będąc bardziej zaangażowanymi w lekcje. Uczniowie zaś rocznikowo starsi mogliby momentami stać się nauczycielami dla młodszych, a chęć pokazania się z dobrej strony w tej roli również byłaby doskonałą formą nauki.

Poza tym podział klasy ze względu na umiejętności pozwala, w grupie mocniejszej, na pracę w szybszym tempie, a w grupie słabszej na dokładniejsze skoncentrowanie się na podstawowych założeniach. Oczywiście jest bowiem, że każdy uczeń w przyszłości będzie wykonywał inne zadania i wiedza zdobyta w szkole każdemu będzie służyła w inny sposób. Konkretnie, część uczniów nie musi znać

całek z matematyki, wszystkich dolin i rzek Azji z geografii czy perfekcyjnie stosować konstrukcję czasu Future Perfect Continuous na lekcjach języka angielskiego. Jeśli bowiem ucznia, który zainteresowany jest prowadzeniem zakładu samochodowego lub gabinetu kosmetycznego zmusimy do przyswajania takiej wiedzy, wcześniej czy później postawimy go w sytuacji, w której temat lekcji po prostu go przerośnie. A jeśli do tego dodamy wspomniany już wcześniej obecny system oceniania, w którym uczeń będzie walczył, aby tylko zaliczyć materiał, to pożytek z takiego nauczania żaden. Idąc tym tropem dalej, nauczyciel będzie starał się z całych sił jakoś wytłumaczyć czas Future Perfect Continuous uczniom, którzy tej wiedzy i tak nigdy w praktyce nie wykorzystają, a mając na to wszystko jedynie czterdzieści pięć minut, zostawi samym sobie tych uczniów, którzy mogliby wspomnianą wiedzę naprawdę dopracować i w przyszłości wykorzystać. Dobry uczeń przecież i tak poradzi sobie sam.

Forsowane zatem przez lewicowe środowiska teoretyczne tezy o walce z wykluczeniem uczniów prowadzą w praktyce do rzeczywistego wykluczenia: w sferze mentalnej. Włączenie bowiem wynika tylko ze świadomości, że potrafię i jestem potrzebny. Jeden uczeń ma docelowo wynaleźć nowe urządzenie i dostać za ten wynalazek nagrodę Nobla, inny będzie pracować nad jego produkcją. I tylko wtedy, jeśli dodatkowo każdy z nich będzie odpowiednio godnie opłacany i za swoją pożyteczną pracę szanowany, możemy mówić o wyrównywaniu szans.

Potrzeba nowych programów

Kolejny problem to praktyczne, rzeczowe podejście do konstruowania podstaw pro-

gramowych i refleksyjnego ich realizowania. Jak istotna jest to kwestia, pokazuje Marzena Żylińska, autorka książki „Neurodydaktyka. Nauczanie i uczenie się przyjazne mózgowi”. W swoim artykule „Odkrzesłować uczniów” przytacza ona mejle nauczycieli, którzy, związani sztywną podstawą programową, ograniczani są do przestarzałej, pruskiej edukacji. I znowu w tym przypadku rola decydentów i środowisk uniwersyteckich jest kluczowa. Nie może być bowiem tak, że realizację podstawy programowej, z której bezwzględnie rozliczani są nauczyciele i dyrektorzy, traktujemy jako główne zadanie edukacji. Przed nauczycielem postawiony powinien zostać cel, tak jak każdy nauczyciel stawia cel swoim uczniom przed każdymi zajęciami. A jak i kiedy do niego dotrzemy, zależy od bardzo wielu czynników. Celem nauczania musi być zainteresowanie ucznia tematem, nauczenie go, jak szukać rozwiązań, uczulenie go na fakt, że jego edukacja to również jego własna odpowiedzialność.

Obecna sztywna podstawa programowa nie daje możliwości na indywidualne podejście do ucznia. Szczęściem jest, kiedy nauczyciel rozumie ograniczenia tak podanej podstawy programowej i po prostu stara się dobrze nauczyć ucznia tego, czego ten potrzebuje, i jest w stanie później wykorzystać. Szczęściem jest, kiedy dyrektor, czując wsparcie kuratorium oświaty, jest w stanie pozwolić kreatywnym nauczycielom na edukację nowoczesną, korzystającą z podstawy programowej, a nie bezmyślnie ją realizującą. Wszystko to jednak zależy od mądrości nauczyciela i dyrektora. Przypomnijmy jednak, że to nie tylko kadra pedagogiczna, że to również kolejne ekipy rządzące oraz środowiska intelektualne powinny brać na siebie ciężar skutecznej, nowoczesnej edukacji.

Takiej, dzięki której, państwo polskie otrzyma ucznia wykształconego praktycznie, gotowego do pracy w tym państwie, bogacącego się i potrafiącego korzystać z tego, czego nauczył się w szkole.

Wymienione problemy, tylko te najistotniejsze, dławią polską szkołę, a jeśli do tego dodamy dramatyczną sytuację finansową szkół, bardzo niskie zarobki nauczycieli, wśród których młodzi stażyści, jak wskazuje Związek Nauczycielstwa Polskiego, zarabiają 1751 zł, oraz dyrektorów, brak zdroworozsądkowej weryfikacji pracy, skostniały, archaiczny i w gruncie rzeczy szkodliwy dla uczniów oraz nauczycieli system Karty Nauczyciela, to wizja przed

Polską, która po raz pierwszy od wielu lat ma szansę na prawdziwy rozwój i skok cywilizacyjny, niestety nie jest pozytywna. I nie jest to wina tylko i wyłącznie nauczycieli i dyrektorów szkół. Zdecydowanie większą winę ponoszą tutaj osoby odpowiedzialne za polską szkołę, w której, koniec końców, dyrektorzy i nauczyciele jeszcze przez kilka lat sobie poradzą, próbując wydobyć ze swoich uczniów to, co najlepsze. Pytanie jednak brzmi: jak długo jeszcze, na ile starczy im sił i chęci walki z chorym systemem? A Polski nie stać już na kolejne zmarnowane, emigrujące pokolenia.

Czy powstaną „odnawialne” imperia?



PAWEŁ ŚREDZIŃSKI

Dziennikarz, miłośnik przyrody, rzecznik Fundacji Dziedzictwo Przyrodnicze i redaktor Magazynu Poświęconego Przyrodzie natropie.tv

Zmiany klimatu stały się motorem rozwoju innowacyjnych technologii. Odnawialne źródła energii stanowią wciąż niedostrzegany przejaw rywalizacji między Chinami a USA

Chiny wciąż opierają się w dużej mierze na węglu. Aż 2/3 energii, której potrzebuje Państwo Środka, pochodzi ze spalania paliw kopalnych. Jednak Pekin doskonale zdaje sobie sprawę z potrzeby prognozowania przyszłości. A prognozy wyraźnie wskazują na wyczerpywanie się zasobów węgla. Apetyt przemysłu na energię nie spada, i dlatego należy szukać jej źródeł poza paliwami kopalnymi. Chiny poważnie spoglądają więc na sprawy rozwoju energetycznych alternatyw i zwiększają swoje nakłady w tym zakresie. Naiwnością byłoby jednak twierdzić, że chińskie władze robią to z troski o klimat. Konsumpcja węgla wciąż rośnie, a spalając paliwa kopalne Chiny produkują komponenty do instalacji wiatrowych i solarnych.

Tymczasem za Oceanem Spokojnym największy rywal Chin, Stany Zjednoczone, zmienił swój klimatyczny kurs. Donald Trump twierdzi, że zmian klimatu nie ma, a całe zamieszanie wokół Porozumienia Paryskiego i ograniczania emisji, jest chińską intrygą. Jeszcze zanim został prezydentem USA, w jednym ze swoich

wpisów w mediach społecznościowych oznajmił wprost: „Koncept globalnego ocieplenia został stworzony przez Chiny i dla Chin, by sprawić, że amerykański przemysł przestanie być konkurencyjny”. Już jako przywódca USA nie porzucił dotychczasowych przekonań, obwieszczając renesans w amerykańskim górnictwie węglowym.

Energetyczny kij i jego dwa końce

Każdy kij ma dwa końce. W przypadku Państwa Środka jeden z tych końców ma pozytywne konotacje i oznacza technologiczną rewolucję w energetyce odnawialnej. Drugi ma mało przyjemny wygląd komina elektrowni węglowych, bo Chiny są największym emitentem CO₂ na świecie. W 2017 roku Pekin był odpowiedzialny za 27 proc. emisji dwutlenku węgla. Drugim państwem na podium były Stany Zjednoczone, odpowiedzialne za 15 proc. emisji, a podium zamykała Unia Europejska – 10 proc. W tym zestawieniu Chiny były liderem, a Polska znalazła się

na 21. miejscu. To akurat nie powinno nas dziwić, w czasach, kiedy tak wiele produktów niechińskich marek oznacza się informacją „Made in China”. Za ten stan odpowiada nie tylko spalanie węgla (Chiny są największym konsumentem węgla na świecie), ale również transport (ChRL to drugi „zjadacz” ropy naftowej, po USA). Jednak co ciekawe, zupełnie inaczej przedstawia się kwestia emisji, jeżeli za wskaźnik przyjmujemy emisję CO₂ na mieszkańca. W tym przypadku liderem jest Katar – 49 ton CO₂ per capita w 2017 roku, a Polska wyprzedza Chiny z wynikiem 8,6 ton i 38. miejscem wobec chińskich 7 ton na mieszkańca rocznie.

Amerykański kij ma również dwie różne końcówki. Z jednej strony jest nią prezydent Donald Trump, który neguje doniesienia świata nauki na temat globalnego ocieplenia i deklaruje, że przyszłość Ameryki jest zaklęta w paliwach kopalnych. Postawa Trumpa jest w wyraźnej kontrze do polityki jego poprzednika. W 2015 roku Barack Obama ogłosił „Plan Czystej Energii”. Jego celem było zmniejszenie emisji o 32 proc. do 2030 roku w porównaniu z poziomem emisji w 2005 roku. Wraz z nadejściem ery Trumpa ambitny plan rozbił się o skały denializmu klimatycznego. Poglądów obecnego prezydenta nie podzielają jednak poszczególne stany. Liderem wśród nich jest Kalifornia, która zapowiedziała, że do 2045 roku będzie w stu procentach energetycznie zielonym regionem. Półmetek Kalifornijczycy osiągną za jedenaście lat. Nie bez przyczyny dzieje się to właśnie w tym stanie USA, uchodzącym za zagłębienie innowacyjności i nowych technologii. Kalifornijskim władzom stanowym sprzyja również słońce, z którego w dużej mierze zamierzają korzystać. Nie bez powodu jednym z największych sympatyków

OZE jest były kalifornijski gubernator, Arnold Schwarzenegger.

Oprócz Kalifornii do grona zwolenników przechodzenia na OZE należą też Hawaje czy Nevada, która w 2030 roku chce 50 proc. energii produkować z odnawialnych źródeł. Wśród amerykańskich stanów, które zadeklarowały osiągnięcie pułapu produkcji energii z OZE do 2030 roku, na ambitnym poziomie minimum 50 proc. znalazły się już Dystrykt Kolumbia, New Jersey, Nowy Jork, Oregon i Vermont. W innych regionach USA nikt nie odmawia potrzeby zwiększania miks energetycznego, chociaż deklaratywność udziału odnawialnej energetyki jest tam odpowiednio mniejsza.

Chińczycy w przeciwieństwie do Trumpa wiedzą, że „królewska władza” paliw kopalnych w końcu się skończy wraz z wyczerpującymi się zasobami

Chińczycy w przeciwieństwie do Trumpa wiedzą, że „królewska władza” paliw kopalnych w końcu się skończy wraz z wyczerpującymi się zasobami. I na ten scenariusz chińskie władze przygotowują się już od co najmniej dekady. W Chinach rozwój OZE jest scentralizowany i ma różne konteksty. Stawką jest nie tylko konkurencyjność gospodarki oraz redukcja emisji CO₂, ale i jakość powietrza. W 2013 roku Chiny poszły na wojnę ze smogiem, co sprawiło, że przybyło dni

z czystym niebem w Pekinie i 27 chińskich miastach. Jej wypowiedzenie nie byłoby możliwe bez chińskiej klasy średniej, która zaczęła domagać się lepszych warunków życia. Jednak w rezultacie oznaczało to wyłącznie odsunięcie problemu od dużych ośrodków miejskich. Należy pamiętać, że Chiny nie zamierzają wygaszać przemysłu ciężkiego, który teraz działa głównie poza metropoliami. To na peryferia wielkich miejskich aglomeracji, posługując się argumentem walki ze smogiem w mieście, wyprowadzono huty i elektrownie z Pekinu. Po tej przeprowadzce zakłady przemysłowe wyrosły na nowo w pobliskiej prowincji Hebei. Tam, w przeciwieństwie do stolicy, jakość powietrza się nie poprawiła.

Energetyka odnawialna jest również jedną z integralnych części składowych rywalizacji o wpływy na mapie współczesnego świata

W kontekście energetycznych planów Chin symbolicznym wydarzeniem było uruchomienie największej pływającej farmy słonecznej we wschodniej prowincji Anhui. Powstała ona w miejscu dawnej kopalni węglowej, która została zalana. W ten sposób uzyskano dodatkową przestrzeń niezbędną do zlokalizowania takiego obiektu wymagającego znacznej przestrzeni na lądzie stałym. Chociaż sama budowa takiej elektrowni nie jest łatwa w porównaniu z instalacjami budowanymi na lądzie, to jednak w opinii chińskich

władz będzie opłacalna. Ma zapewnić energię 15 tysiącom gospodarstw domowych. To kolejny mały, ale ważny krok, który potwierdza kierunek rozwoju sektora energetycznego. A zatem, o ile Chiny nie staną się w pełni odnawialnym imperium, to i tak, przy takim trendzie inwestowania w zieloną energetykę, wyprzedzają już amerykańskiego konkurenta.

Nieodnawialny Trump, odnawialne Chiny?

Kiedy administracja Trumpa chce wycofać USA z porozumień paryskich, Pekin inwestuje miliardy dolarów i mówi o ponad dziesięciu milionach miejsc pracy w zielonej energetyce stawiając na energię ze słońca i energetykę wiatrową. Docelowo to sposób na większą niezależność energetyczną Chin i kolejny kierunek ekspansji handlowej. Obecnie Państwo Środka pokrywa 2/3 światowego zapotrzebowania na panele słoneczne. Podobnie jest z energetyką wiatrową – połowa produkcji turbin wiatrowych wychodziła w ostatnich latach z tego kraju. Chiny stawiają również na rozwój zielonych technologii, myśląc o benefitach wynikających z opatentowania nowych rozwiązań. To dzięki Chinom i spadkom kosztów produkcji, w latach 2008–2013 doszło do gwałtownej obniżki cen paneli słonecznych o 80 procent.

Szacuje się, że już dziś w sektorze związanym z energetyką słoneczną pracuje ponad 2,5 miliona osób w samych tylko Chinach. Amerykanie zaoferowali takich miejsc pracy prawie dziesięciokrotnie mniej, co wynika z raportu Międzynarodowej Agencji do spraw Energii Odnawialnej. I kiedy Trump chce znów wysyłać górników do kopalni, Chiny wysyłają swoich obywateli w odwrotnym kierunku, gdzie również mogą znaleźć płatne zajęcia.

Co więcej, chińskie władze planują cięcia etatów w kopalniach węgla.

Oczywiście do deklaracji Pekinu należy podchodzić z umiarkowanym optymizmem. Pomimo zazieleniania energetyki w Chinach węgiel wciąż stanowi ponad 60 procent miks energetyczny, chociaż prognozy na kolejne lata nie zakładają gwałtownego wzrostu zapotrzebowania na ten surowiec. Państwo Środka ma jeszcze węgla na pół wieku, ale wciąż waha się, co z nim zrobić. Pomimo zamykania węglowych bloków, Chiny wciąż nie rezygnują z tego paliwa, co wynika z partykularnych interesów poszczególnych prowincji, które dysponują zasobami węgla i cieszą się pewną dozą niezależności w podejmowaniu decyzji o ich eksploatacji.

Chiny, które będą mogły produkować więcej własnej energii, zmniejszą swoje zapotrzebowanie na paliwa z importu

Jednak nie tylko zieloną energią będą stały Chiny. Pekin nie odżegnuje się również od energetyki jądrowej. Dziś Chiny korzystają z 33 reaktorów, a w budowie są kolejne 22 bloki. Niskoemisyjność chińskiej gospodarki nie oznacza zatem wyłącznie inwestowania w OZE. Jednak jeśli wierzyć deklaracjom Pekinu, do 2030 roku aż 35 proc. energii będzie pochodzić z odnawialnych źródeł. Jednak nie oznacza to całkowitej rezygnacji z energii, która będzie pochodzić z wciąż dostępnych zasobów węgla. A zatem Chiny wciąż nie stawiają wszystkiego na jedną kartę, chociaż potrafią zoptymalizować korzyści związane z energetyką odnawialną.

Energetyczny wyścig już trwa

Energetyka odnawialna jest również jedną z integralnych części składowych rywalizacji o wpływy na mapie współczesnego świata. Chiny już od lat starają się współpracować z krajami ubogimi. W ten sposób budują sobie rynki zbytu, w takich miejscach, gdzie energetyka odnawialna będzie jednym z kluczowych źródeł energii.

Afryka jest dziś jedną z najważniejszych chińskich stref wpływów. Można prognozować, że Chiny nie ograniczą się wyłącznie do eksploatacji surowców naturalnych tego kontynentu. Będą również wzbogacać ofertę swoich produktów, skrojonych na potrzebę mniej zasobnych klientów. Znajdą się w niej między innymi komponenty do produkcji energii ze słońca, które mogą być z powodzeniem wykorzystywane na większości terytorium kontynentu afrykańskiego. A to z kolei jest szansą dla rozwoju gospodarczego kontynentu afrykańskiego. Atutem elektrowni słonecznych będzie ich cena i idealne warunki do rozwoju tej gałęzi energetyki. Prognozy są dobre, szczególnie jeśli uwzględnimy ograniczony dostęp do elektryczności na kontynencie afrykańskimi – w 2015 roku 585 milionów mieszkańców Afryki Subsaharyjskiej było pozbawionych takiego dostępu. W ciągu ostatnich lat powstają nie tylko elektrownie słoneczne, ale rośnie zapotrzebowanie na tanie urządzenia ładowane energią ze słońca. Z perspektywy Pekinu to obiecujący rynek zbytu dla chińskiej produkcji. Chiny już od lat umacniają swoją pozycję w Afryce, która otworzyła im nie tylko dostęp do surowców, ale również do ziemi, którą Państwo Środka kupuje i wdzierzawia na tym kontynencie, co ma zwiększyć bezpieczeństwo żywnościowe.

Jednocześnie Chiny kreują się na obrońcę interesów krajów rozwijających się. Na kolejnych szczytach klimatycznych konsekwentnie akcentują potrzebę finansowego wsparcia dla państw, które już dziś najbardziej odczuwają zmiany klimatu. Jest to przejaw naturalnego sojuszu, w którym Pekin nie po raz pierwszy pełni rolę protektora przed krajami rozwiniętymi.

Wyścig już się zaczął. Chiny, które będą mogły produkować więcej własnej energii, zmniejszą swoje zapotrzebowanie na paliwa z importu. W ten sposób chcą

zmniejszyć narażenie chińskiej gospodarki na globalne tąpnięcia cen i ograniczenie dostępności do surowców. Z kolei amerykański prezydent rozłożył „odnawialność” USA na łopatki, podnosząc cła na słoneczne panele z Chin, i to nie w obronie amerykańskich producentów, ale amerykańskich paliw kopalnych. Trump nie robi też nic, aby to amerykańskie firmy przejęły prowadzenie we wdrażaniu i patentowaniu nowych technologii, pozwalających jeszcze efektywniej produkować i magazynować energię z odnawialnych źródeł.

Sondażowe lustro Rosji



MAREK BUDZISZ

Były dziennikarz, doradca dwóch ministrów w rządzie Jerzego Buzka, analityk. Obecnie w biznesie. Z wykształcenia historyk.

Największe niezadowolenie wśród Rosjan budzą nierówności i warunki mieszkaniowe, a władza traci poparcie. To tylko niektóre wnioski z noworocznych sondaży

Nowy rok w Rosji zaczął się od publikacji szeregu sondaży, które pokazują, co Rosjanie myślą o stanie, w jakim znajduje się ich ojczyzna, jakiej polityki gospodarczej i społecznej by chcieli, i wreszcie – jakie zmiany w polityce zagranicznej spotkałyby się z ich uznaniem.

Naukowcy z moskiewskiej Wyższej Szkoły Ekonomii pytali wiosną ubiegłego roku 4 tysiące Rosjan, co z ich punktu widzenia jest zjawiskiem budzącym największe niezadowolenie. Zdecydowanie najczęściej padała odpowiedź, że są nim nierówności w dochodach. Taki pogląd zaprezentowało 84 proc. ankietowanych. W pierwszej piątce zmieściły się jeszcze nierówności w dostępie do ochrony zdrowia (70 proc.), warunkach mieszkaniowych (64 proc.), brak dobrych miejsc pracy (52 proc.) oraz nierówności w dostępie do edukacji (48 proc.). Trzeba zauważyć, że te wskaźniki dotyczą bardziej ogólnego poczucia tego, jak wygląda sytuacja w kraju, bo jednocześnie naukowcy pytali, czy ankietowani osobiście doświadczali każdej z tych form upośledzenia. Tu

odpowiedzi twierdzących było zazwyczaj mniej. Ale badacze zwracają uwagę, że i w tej kategorii w ciągu ostatnich trzech lat dość wyraźnie wzrosła liczba osób, którzy na własnej skórze poczuli się dyskryminowani, czy to w dostępie do ochrony zdrowia, edukacji, mieszkań, czy wreszcie w dochodach.

Poparcie dla władzy słabnie

Inny sondaż, który właśnie opublikowało Centrum Lewady, koncentrował się na poszukiwaniu odpowiedzi na pytanie, czym Rosjanie się szycią a czego wstydzą. Zdaniem interpretujących wyniki badania socjologów wskazuje on na to, że jeśli chodzi o powody do zadowolenia, to obywatele Federacji Rosyjskiej coraz częściej szukają ich w przeszłości, a na teraźniejszość patrzą z narastającą goryczą. I tak szycią się zwycięstwem w II wojnie światowej (87 proc. respondentów), a najbardziej wstydzą z tego powodu, że „są wspaiałym narodem, bogatym krajem, a żyją w wiecznym ubóstwie i niepewności”. Tak

uważa 61 proc. ankietowanych, podczas gdy w ubiegłych latach tego rodzaju pogląd reprezentowało ok. 53-55 proc. osób uczestniczących w sondażu. Nie należy z tego wyciągać zbyt daleko idących wniosków, bo Rosjanie wstydzą się też rozpadu ZSRR (45 proc., rok wcześniej – 33 proc.), dumni są z przyłączenia Krymu (45 proc.) oraz, w coraz większej liczbie (wzrost z 9 proc. do 16 proc.), odczuwają gorycz związaną z tym, że rządzi nimi „ograniczona, niekompetentna i nastawiona na własne korzyści władza”.

Poziom zaufania do rosyjskiego prezydenta (a pamiętajmy, że badania przeprowadzono już w tym roku) osiągnął swe historyczne minimum – 32,8 proc., podczas gdy jeszcze w marcu ubiegłego roku ufało mu ponad 55 proc. ankietowanych

Inny sondaż, przeprowadzony przez rządowy ośrodek badania opinii publicznej WICOM, ukazuje znaczący spadek poparcia dla organów władzy. Straciły obie izby Dumy (w ciągu roku spadek zaufania do izby niższej z 52 proc. do 31 proc.). Ale zaufanie do armii, Cerkwi Prawosławnej oraz „organów porządku publicznego” nie zmalało i utrzymuje się na wysokim poziomie (odpowiednio armia – 86 proc., cerkiew – 69 proc., organy – 57 proc.). Poziom zaufania do rosyjskiego

prezydenta (a pamiętajmy, że badania przeprowadzono już w tym roku) osiągnął swe historyczne minimum – 32,8 proc., podczas gdy jeszcze w marcu ubiegłego roku ufało mu ponad 55 proc. ankietowanych. Później, po wprowadzeniu niepopularnej reformy emerytalnej, wskaźniki te obniżyły się do 35 proc., a teraz jeszcze bardziej spadły.

Warto zwrócić uwagę na dynamikę społecznego poparcia dla rosyjskich formacji politycznych. Partia władzy, Jedna Rosja, która jeszcze w maju ubiegłego roku cieszyła się poparciem przekraczającym połowę respondentów (50,7 proc. – badanie z 6 maja 2018), teraz ma 32,8 proc. aprobaty. Rosyjscy socjologowie konstatują, że są to najniższe wyniki zarówno Putina, jak i partii władzy od stycznia 2006 roku, czyli od czasu, kiedy tego rodzaju badania zaczęto systematycznie prowadzić. Poparcie społeczne przeczuciło się na inne formacje, przede wszystkim tzw. opozycji systemowej. Najwięcej zyskali komuniści (wzrost z 9,2 proc. do 16,3 proc.) oraz opowiadająca się za aktywniejszą polityką socjalną Sprawiedliwa Rosja (skok z 3,4 proc. do 6 proc.). Zyskała również formacja Żyrinowskiego (8,4 proc. w maju, 12 proc. obecnie). W najmniejszym stopniu zmianę nastrojów społecznych odczuły wszystkie, razem wzięte formacje pozaparlamentarnej opozycji – wzrost zaufania z 7 proc. w maju 2018 r., do 9,3 proc. Biorąc pod uwagę fakt, że w wyborach prezydenckich przedstawiciele rosyjskich komunistów zawsze osiągają lepszy wynik niż cała formacja (w trakcie ostatnich wystawiony przez nich Paweł Grudinin dostał 11,7 proc. głosów, podczas gdy popularność komunistów w tym czasie oscylowała wokół 8,5-9,5 proc.), to w obliczu jesiennych wyborów gubernatorskich, siłą rzeczy silnie spersonalizowanych,

kandydaci komunistyczni mogą być poważną konkurencją dla przedstawicieli partii władzy.

Japonii ani guzika

Zmieniające się nastroje społeczne wpływają na postrzeganie przez Rosjan polityki zagranicznej prowadzonej przez Kreml. Wyraźnie widać to w ich stosunku do perspektywy zawarcia z Japonią porozumienia w kwestii statusu czterech spornych wysp Archipelagu Kurylskiego. Pod koniec grudnia ubiegłego roku jeden z rosyjskich ośrodków badania opinii publicznej (Obščestwiennoje Mnienie) opublikował wyniki ankiety na temat stosunku Rosjan do kwestii relacji z Japonią, a WCIOM pytał Rosjan o ich zdanie na temat perspektywy zwrotu wysp z Archipelagu Kurylskiego. Z tego ostatniego badania wynika, że dość zdecydowana większość badanych (77 proc.) jest przeciwko oddawaniu czegokolwiek Japonii, nawet jeśli w zamian Rosja uzyskała „znaczącą rekompensatę”. Co ciekawe, wśród mieszkańców Dalekiego Wschodu przeciwników nawet małych ustępstw w tej kwestii jest więcej (84 proc.), więcej jest też tam zwolenników poglądu (20 proc.), że zarząd nad archipelagiem winien być wspólnym rosyjsko-japońskim przedsięwzięciem, a o formalnej zmianie przynależności państwowej wysp nie ma co myśleć. Ponad połowa badanych (51 proc.) opowiada się przy tym za kontynuowaniem rozmów, nawet jeśli miałyby one trwać długie lata. Celem negocjacji w takim ujęciu miałyby być zbliżenie stanowisk i doprowadzenie „do wzajemnego zrozumienia”. To zaufanie do skuteczności rosyjskiej dyplomacji jest, jak można przypuszczać, pochodną poglądów Rosjan na temat charakteru i jakości wzajemnych relacji. Większość an-

kietowanych (49 proc.) jest zdania, że Japonia to przyjazne Rosji państwo, wzajemne relacje można ocenić jako dobre (59 proc.). Większość Rosjan uważa też (77 proc.), że ich kraj ma w świecie znacznie większe znaczenie niż Japonia. Innymi słowy wyniki badań opinii publicznej

Wyniki badań opinii publicznej sprowadzają się do ujawnienia zakorzenionego w Rosji poglądu, który można skonkludować w następujący sposób – Rosja ma dobre relacje z Japonią, jest krajem silniejszym i mającym większe znaczenie, po co zatem oddawać wyspy, o których sądzimy, że słusznie się nam należą

sprowadzają się do ujawnienia zakorzenionego w Rosji poglądu, który można skonkludować w następujący sposób: Rosja ma dobre relacje z Japonią, jest krajem silniejszym i mającym większe znaczenie, po co zatem oddawać wyspy, o których sądzimy, że słusznie się nam należą? Z punktu widzenia Kremla, istotne znaczenie ma też odpowiedź na pytanie, jak zmienić się może stosunek ankietowanych do rosyjskiego prezydenta, jeśli ten zde-

cydował się na oddanie całości lub części archipelagu Japończykom. Otóż 53 proc. badanych odpowiedziało, że w takiej sytuacji ich postrzeganie Putina pogorszy się.

Inny z kolei ośrodek demoskopijny pytał Rosjan, jak sytuują swoją gospodarkę w światowej hierarchii. 30 proc. z nich jest zdania, że gdyby brać pod uwagę położenie materialne ludności, to gospodarka rosyjska sytuuje się między 10. a 50. miejscem na świecie, 27 proc. jest zdania, że jest to lokata między 50. a 100. pozycją, ale jest też grupa (21 proc.), która jest zdania, że miejsce rosyjskiej gospodarki jest na szarym końcu. Inne pytanie dotyczyło tego, które miejsce zajmuje Rosja, gdy wziąć pod uwagę siłę jej gospodarki jako całości, bez zwracania uwagi na warunki życia ludzi. I tu też nie jest najlepiej, bo 20 proc. uważa, że plasuje się w drugiej pięćdziesiątce, 37 proc. jest zdania, że między 10. a 50. miejscem, a 10 proc. szukałoby jej na samym końcu.

Alternatywą komuniści?

I wreszcie ostatni z noworocznych sondaży – przeprowadzony też przez centrum Lewady – przyniósł opinię 53 proc. Rosjan, którzy chcieliby odejścia obecnej ekipy Dmitrija Miedwiediewa. Z kolei liczba zadowolonych z działalności premiera i rządu według ostatniego sondażu, przeprowadzonego w trzecim tygodniu stycznia przez WCIOM, wynosi odpowiednio 33,7 oraz 37,7 proc. respondentów. Wszystkie te opublikowane po zakończeniu długich

w Rosji świąt związanych z Nowym Rokiem oraz prawosławnym Bożym Narodzeniem wskazują na znaczne pogorszenie się nastrojów wśród zwykłych Rosjan. Ale jednocześnie pokusić się można o tezę, że wcale nie wzrosła liczba zwolenników rozwiązań rynkowych, które na Wschodzie kojarzą się z biedą i bałaganem rządów Jelcyna. Raczej rośnie zapotrzebowanie na „rządy silnej ręki”, większe bezpieczeństwo socjalne i większą równość w podziale dochodów. Jeżeli można mówić o politycznej alternatywie wobec obecnej ekipy, to raczej w królestwie opinii publicznej należałoby szukać jej w obszarze zajmowanym przez formację postkomunistyczną, opowiadającą się za większą sprawiedliwością w rozdziale dochodów i aktywniejszą polityką społeczną, a przy tym otwarciem wzywającą do odbudowy rosyjskiego imperium i z nostalgią spoglądającą w przeszłość. Takie przesunięcie nastrojów społecznych w ostatnich latach zawsze prowadziło do korekt w polityce gospodarczej i zagranicznej rządzącej ekipy. W planie polityki gospodarczej oznacza to umacnianie się już obserwowanych trendów, zmierzających do odizolowania Rosji od zagrożeń związanych ze współpracą z Zachodem („Twierdza Rosja”), zaś w polityce zagranicznej może oznaczać korektę obecnego kursu (większe usztywnienie, powrót do retoryki imperialnej), lub, wobec niemożności zmiany realizowanej linii, próbę odciążenia uwagi opinii publicznej jakąś „małą zwycięską wojną”.

Bolesny szpagat Jordana Petersona



JAREMA PIEKUTOWSKI

Członek zespołu, główny ekspert ds. społecznych

Autor „12 życiowych zasad” nie jest wprawdzie kapitalistycznym coachem ani apostołem egoizmu, ale do humanizmu wiele mu brakuje. Zмага się z najważniejszymi problemami świata i czasem dochodzi do interesujących wniosków, choć wiele jego odpowiedzi budzi wątpliwości

Niemal dwa miliony subskrypcji na YouTube. Ponad 85 milionów wyświetleń filmów. Ponad dwa miliony sprzedanych kopii ostatniej książki – „12 życiowych zasad” i (częściowo wykonane) plany jej tłumaczenia na 45 języków. Setki tysięcy słuchaczy podcastów, tournées po całym świecie, podczas których na spotkania przychodzą tysiące osób. Mnóstwo entuzjastycznych recenzji. Jedno jest pewne – Jordan Bernt Peterson, profesor psychologii na uniwersytecie w Toronto, zaczarował świat.

I jak każdy masowo działający czarownik, ściągnął na siebie bicz nieubłaganej krytyki. „Jeśli interesuje was chrześcijańska mitologia, kołtuński indywidualizm, bełkotliwa metafizyka i lęki egzystencjalne, to Jordan Peterson jest filozofem dla was. Ale jeśli wolicie twarde dowody i rozumowanie, szukajcie gdzie indziej” – pisze w „Psychology Today” Paul Thagard. Nellie Bowles w „New York Timesie” nazywa Petersona „kustoszem patriarchatu”, Pankaj Mishra w „The New York Review” doszukuje się u Kanadyjczyka inspiracji

rodem z „faszystowskiego mistycyzmu” (do którego skądinąd absurdalnie zalicza m.in. Carla Gustava Junga i Mirceę Eliadego), a inni krytycy nazywają go „guru alt-rightu”. Ale i w Polsce Petersonowi się dostało – Jakub Majmurek twierdzi, że twórczość psychologa to „absolutnie fałszywa odpowiedź na często realne problemy”, i ostrzega, że „fenomen Petersona traktować trzeba poważnie”, gdyż „tak jak Trump i jego klony w polityce, tak w sferze idei Petersony (sic! – JP) szybko nie znikną”. Krytycznie o Petersonie pisał też „Nowy Obywatel”, a chwaliła go „Teologia Polityczna”. Oscar Wilde pisał w przedmowie do „Portretu Doriana Graya”, że „niezgodność krytyków jest dowodem zgodności artysty z samym sobą”. Peterson faktycznie idzie jedną, wytyczoną przez siebie drogą. Co to za droga, dokąd prowadzi, i czy kanadyjski psycholog faktycznie zasługuje na masowe pochwały, czy na miazdzącą krytykę? Aby odpowiedzieć na te pytania, należy dotrzeć do korzeni jego wizji.

Wokół nas toczy się nieustanny spór o narrację. Mówiąc skrótowo – do wieku XIX większość nurtów myślowych i systemów światopoglądowych konstruowało wizję człowieka i historii w formie spójnych narracji z początkiem, rozwinięciem i końcem, czyli celem, do którego dążymy. Dla chrześcijan takim celem jest zbawienie i życie wieczne; dla nietzscheanistów – narodziny Nadczłowieka; dla marksistów – osiągnięcie bezklasowego społeczeństwa komunistycznego. Te narracje poza efektami rozwojowymi przyniosły także wiele cierpienia i przemocy i stanowiły podatny grunt dla wielkich dwudziestowiecznych totalitaryzmów. Lęk przed tą przemocą miał duży wpływ na nurt postmodernistyczny, który wielkie narracje neguje.

Peterson wybiera inną drogę niż postmoderniści, którzy wobec narracji są sceptyczni; uważa, że bez nich chaos doprowadziłby do totalnej destrukcji

Postmoderniści twierdzą, że w świecie postindustrialnym i społeczeństwie informacyjnym narracje albo nie mają już racji bytu („koniec człowieka” u Foucaulta, „koniec historii” Fukuyamy, swego rodzaju „koniec rzeczywistości” u Baudrillarda), albo – że są one niebezpieczne i kryją się za nimi partykularne interesy. Konserwatyści, będący „ostatnimi rycerzami modernizmu”, wierzą w narracje będące podstawą świata, i – co więcej – służące rozwojowi człowieka: na przykład William Kirk Kilpatrick, autor popularnego u nas

pewien czas temu „Psychologicznego uwiedzenia” twierdzi, że życie jest opowieścią, i najlepszym sposobem jego interpretacji i wyjaśnienia jest opowieść.

Między Scyllą a Charybdą

Peterson nie neguje faktu, że wielkie narracje mogą nieść wielką przemoc. W swojej pierwszej książce, „The Maps Of Meaning” („Mapy znaczenia” – dostępnej za darmo w internecie), wychodzi wręcz od tego przekonania. Książkę pisał trzynastolatkiem, wiedziony silnym impulsem poszukiwania przyczyn zła. Kiedy rozpoczynał – w 1985 r. – po nocach śniły mu się koszmary o zniszczeniu świata. „Nie potrafiłem zrozumieć, jaka siła stała za nazistami, stalinistami czy Czerwonymi Khmerami” – pisze Peterson. W końcu doszedł do tego, przed czym już wcześniej ostrzegali postmoderniści: ideologie mają charakter religijnych narracji, i pełnią niezwykle ważną funkcję wprowadzania porządku w chaos. W świecie toczy się nieustanne zmaganie między chaosem a porządkiem. Porządek to sytuacja przewidywalna, sytuacja, w której zbudowane struktury chronią przed katastrofą związaną z nieprzewidywalną zmianą. Taką zmianę przynosi chaos – to stan rzeczy, w którym nie można mieć pewności, w którym przewidywanie jest niemożliwe. Chaos przynosi wolność i twórczą ekscytację, porządek przynosi poczucie bezpieczeństwa. Nadmiar chaosu przynosi lęk i reakcję typu „walka/ucieczka”; nadmiar porządku – nudę, restrykcje i represje. Chaos to natura, porządek to kultura. Chaos to ciemna dżungla pełna dzikich zwierząt, porządek to spokojna wioska na skraju dżungli. Chaos to pozbawiony logiki ciąg zdarzeń, porządek to narracja. Wielkie narracje są skutecznym narzędziem powstrzymującym napór

chaosu. Dlatego jakiegokolwiek zagrożenie dla narracji danej grupy (na przykład wierzeń religijnych) powoduje tak silne, agresywne reakcje, prowadzące nawet do wojny czy masowych represji: złamanie narracji owocuje wdarciem się w życie chaosu.

Peterson jednak wybiera inną drogę niż postmoderniści, którzy wobec narracji są sceptyczni; uważa, że bez nich chaos doprowadziłby do totalnej destrukcji. Choć Peterson utrzymuje, że zarówno nadmiar chaosu, jak i nadmiar porządku są niebezpieczne, i że „sensu należy szukać na granicy oddzielającej tę splecioną na wieczność parę”, większość swoich dzieł poświęca wprowadzaniu porządku w chaos, gdyż świat współczesny uważa za chaotyczny. „12 życiowych zasad”, książka, którą Bryan Appleyard z „Timesa” określa jako „mniej zagęszczoną i bardziej praktyczną wersję «Map znaczenia»”, nosi podtytuł „Antidotum na chaos”. Narracje, system kulturalny, system wartości zapobiegają chaosowi, a że wiążą się z walką jednych ludzi (i jednych narracji) przeciw drugim – to cena, którą musimy zapłacić. „Na Zachodzie od dekad odcinamy się od naszych kultur zogniskowanych wokół tradycji, religii, a nawet narodu – po części właśnie po to, aby zredukować niebezpieczeństwo zbiorowych konfliktów. Niestety: w coraz większym stopniu padamy ofiarą rozpaczki wobec wszechobecnego bezsensu, co trudno uznać za krok naprzód” – pisze psycholog.

To nie „Cnota egoizmu”

Już sam tytuł „12 życiowych zasad” – chwytny i marketingowy – przypomina szereg pop-psychologicznych poradników, oferujących „siedem nawyków” czy „pięć reguł”. Przedstawione w książce reguły

opisane są w tytułach rozdziałów skrótowymi formułami, często odnoszącymi się do konkretnych, drobnych zmian możliwych do wprowadzenia w życie. Przykładowo, reguła nr 1 brzmi: „Pilnuj sylwetki. Plecy proste, ramiona wyciągnięte”. Za tą praktyczną poradą stoi jednak cały bagaż metafizyczny – wizja świata, którą podziela autor. Czemu właściwie mamy się wyprostować? Świat – dowodzi Peterson – jest brutalny, i prawdziwy sukces życiowy odniesie tylko niewielu z nas. Autor wskazuje różne dowody na prawdziwość tej tezy: w USA rocznie wydaje się półtora miliona różnych tytułów książek, ale tylko pięćset tytułów sprzedaje się w nakładzie większym niż sto tysięcy egzemplarzy. Te dane przytacza za T. Fenerem, M. Levene’em i G. Loizou, jednak kolejny dowód (wskazujący, jakoby czterech kompozytorów – Bach, Beethoven, Czajkowski i Mozart – napisało niemal całą muzykę wykonywaną przez współczesne orkiestry) nie jest już poparty konkretnymi liczbami. Tak czy inaczej, zdaniem Petersona, żyjemy w świecie, w którym zwycięzca bierze wszystko, a przegrany będzie nadal przegrywać (ilustruje to omawianym już setki razy porównaniem do walczących homarów, które przykleiło się do Petersona i towarzyszy mu także w memach). Tę samą zasadę widzi Kandydyczek (co wydaje się znaczącym nadużyciem) nawet w słowach Chrystusa: „Kaźdemu bowiem, kto ma, będzie dodane, tak że nadmiar mieć będzie. Temu zaś, kto nie ma, zabiorą nawet to, co ma”. Co należy więc zrobić? Stanąć naprzeciwko przeciwników wyprostowanym, w pozycji zwycięzcy. Ale pozycja ciała to tylko pierwszy krok – tak naprawdę ma ona nam pomóc w tym, by, jak to nazywa Peterson, „wyprostować się metafizycznie”: przyjął na siebie dobrowolnie całe brzemienie bycia.

Zamiast być bezwolnie atakowanym przez „losu wściekłego pociski i strzały” („Hamlet” Williama Szekspira w tłumaczeniu St. Barańczaka) należy „zaakceptować przerażającą odpowiedzialność za życie”, z własnej woli zacząć przekształcać chaos w porządek, porzucić iluzje dzieciństwa, a nawet, jak pisze Peterson lubujący się we wzniosłych, biblijnych metaforach, „zbudować arkę ochraniającą świat przed potopem”, „dźwigać swój krzyż” czy „prowadzić swoich ludzi przez pustynię po ucieczce z domu niewoli” (str. 64).

**W wielu miejscach
u Petersona znajdziemy
więcej stoicyzmu,
humanizmu
i egzystencjalizmu niż
biznesowej pop-psychologii**

Rozdział dotyczący reguły nr 1 od razu wskazuje na pewne problemy i sprzeczności obecne w dalszej części książki, i – ogólnie – w wizji Petersona. Kanadyjczyk bowiem, niczym w szpagacie znajduje się między darwinizmem społecznym oraz pochwałą amerykańskiego, biznesowego indywidualizmu i egoizmu, a klasyczną, liberalno-konserwatywną, ale i głęboko humanistyczną psychologią sensu i wartości. Nie bez powodu jednym z mistrzów Petersona jest Viktor Emil Frankl. To austriacki psycholog i psychiatra, który przeżył obozy koncentracyjne i stracił w nich niemal całą rodzinę, a po wojnie – po której żył jeszcze ponad 50 lat – stał się twórcą logoterapii, głęboko humanistycznego nurtu psychologii, wedle

którego główną siłą życiową jest nie popęd seksualny (jak u Freuda), nie wola mocy (jak u Nietzschego i Adlera), ale dążenie do sensu życia – do prawdy i do wartości. Zbyt szybko więc Łukasz Muniowski w „Nowym Obywatelu” dyskredytuje filozofię Petersona jako egoistyczną, porównując go zgoła do Ayn Rand i przywołując jej stwierdzenie, że samolubność i moralność są zbieżne. Dla Petersona bowiem prawda i szacunek wobec rzeczywistości są jednak ważniejsze niż sukces. Nie bez powodu jedna z reguł brzmi: „Podążaj za tym, co wartościowe (a nie za tym, co wygodne)” – w oryginale ostatnie słowo brzmi „expedient”, a więc raczej „...nie za tym, co korzystne”. Jeśli więc mamy u Petersona do czynienia z egoizmem, to jest on równoważony wystarczającą dawką szacunku wobec rzeczywistości i wartości spoza „ja”: „nie jesteśmy zdolni wymyślać własnych wartości, ponieważ nie jesteśmy zdolni narzucać naszym душom dowolnych przekonań” (str. 232). Celem, jak pisze Peterson, ma być nie sukces, a dobro – a pytanie, które mamy sobie zadawać, brzmi „Co mógłbym i byłbym gotów zrobić, by uczynić Życie odrobinę lepszym?” (str. 144) – i, jak wskazują kolejne fragmenty, nie chodzi tu o nasze własne życie, ale o życie świata. Porównywanie się z innymi – siłą napędową ciemnej strony kapitalizmu – autor „12 życiowych zasad” także krytykuje jako prowadzące do nieuniknionego i niepotrzebego cierpienia; wszak zawsze znajdują się tacy, którzy są od nas lepsi. W wielu miejscach u Petersona znajdziemy więcej stoicyzmu, humanizmu i egzystencjalizmu niż biznesowej pop-psychologii. Kanadyjczyk jest zbyt świadom ogromu bólu i cierpienia, i tego, że świata nie da się oszukać „pozytywnym myśleniem”. Są rzeczy ważniejsze od sukcesu: „na drodze

ku samodoskonaleniu wydają się jednak istnieć granice, których przekroczenie niesie ze sobą wyzbycie się człowieczeństwa” (str. 392).

Widmo darwinizmu

Nad lewicowymi zarzutami wobec Petersona nie można jednak prosto przejść do porządku dziennego. Widmo darwinowskiego indywidualizmu krąży nad jego twórczością i niektóre fragmenty przez to są wręcz nie do zniesienia – gdy na przykład w regule nr 3 Peterson radzi „przyjaźnić się z ludźmi, którzy chcą ci jak najlepiej”, *de facto* zaleca odsunięcie się od tych, którzy „nie mierzą w górę” (tu mamy do czynienia z istotnym przeinaczeniem w tłumaczeniu, gdyż w oryginale Peterson mówi o „niemierzących w górę” – *people who are not aiming up* – a tłumacz przerabia to na określenie „Przyjaciele cyniczni, bez ambicji i kręgosłupa moralnego”). Zaleca odsunięcie się od tych, którzy wpakowali się w poważne kłopoty, a w te wpaść zdaniem Petersona łatwo („Aby zawieść (raczej „przegrać” – w oryginale: *fail* – przyp. JP), musisz jedynie kultywować kilka złych nawyków i marnować czas. Gdy ktoś już poświęcił temu wystarczająco dużo czasu, ulega egzystencjalnemu skarleniu”). W wykładzie prezentowanym na YouTube Peterson jest jeszcze bardziej bezwzględny: mówi studentom, że jeśli będą odnosić kolejne porażki, to około czterdziestki może się okazać, że są „skończeni” (*done*). Czym jest sukces dla Petersona? To rodzina, przyjaciele, kariera, osiągnięcie celów edukacyjnych, plany na czas wolny: „Jeśli tego nie masz, to pozostała ci jedynie nędza i cierpienie”. Chce się wtedy zadać

Petersonowi pytanie: o co tak naprawdę mu chodzi? Czy chce ze swoich czytelników uczynić materialnych „zwycięzców”, samców alfa, homary pokonujące wszystkich przeciwników w otoczeniu (choć sam twierdzi, że tych zwycięzców siłą rzeczy zawsze będzie garstka) – czy ludzi czyniących świat lepszym? A może, na modłę kalwińską, kanadyjski psycholog utożsamia te dwie kwestie?

Jordan Peterson nie jest typowym, kapitalistycznym coachem, o co oskarża go Majmurek, ani apostołem indywidualistycznego egoizmu, jak twierdzi Muniowski. Z drugiej strony do głębokiego humanizmu Viktora Frankla wiele mu brakuje, a wiele jego stwierdzeń zahacza o społeczny darwinizm. „12 życiowych zasad” to bez wątpienia coś dużo więcej niż poradnik z dziedziny pop-psychologii sukcesu. Można wiele zarzucić tej nieraz barokowo przegadanej, obfitującej w powtórzenia, nadmiernie obszernej książce, ale nie można odmówić Petersonowi trafności pytań i głębokich poszukiwań, choć materiał empiryczny uzasadniający jego tezy bywa niewystarczający. Zalecam więc czytanie Petersona z dużym dystansem, ale też bez pospiesznego używania politycznych czy ideologicznych filtrów; mamy bowiem do czynienia z kimś, kto zmagają się z najważniejszymi problemami świata i czasem dochodzi do interesujących wniosków. To jednak nie przekreśla faktu, że popełnia przy tym błędy, przemawia często tonem nieznośnie mentorskim, a jego „szpagat” między różnymi wizjami świata i człowieka nieraz wydaje się bolesny.

Jordan Peterson, *12 życiowych zasad. Antidotum na chaos*, Fijorr Publishing, Warszawa 2018, ss. 432

Kognideologia



KRZYSZTOF SĘKOWSKI

Członek Pracowni Filozofii Eksperymentalnej
przy Instytucie Filozofii UW

Spider-Man wiedział, że „z wielką mocą wiąże się wielka odpowiedzialność”. Czy wiedzą o tym także coraz bardziej popularni i wpływowi kognitywiści, przed którymi stoi niekiedy pokusa ideologizacji swoich ustaleń?

Od Spider-Mana zależało bezpieczeństwo Nowego Jorku. O ile z powszednimi rabusiami miejscowa policja pewnie by sobie poradziła, to do walki z szalonym naukowcem z czterema mackami przyczepionymi do pleców – Doktorem Octopusem – potrzebowała pomocy superbohatera. Być może współcześni kognitywiści nie chodzą po ścianach i nie są potrzebni do pacyfikacji złoczyńców, którzy chcą zawładnąć nad światem. Z całą pewnością jednak kognitywistyka to nauka coraz bardziej wpływowa. Od swoich początków sięgających lat 50., kiedy to jej prekursorzy tworzyli ruch krytykujący behawioryzm za to, że w wyjaśnianiu poznania nie uwzględniał procesów wewnętrznych, uznając je za nieobserwowalne, kognitywistyka przeszła olbrzymi rozwój. Już w latach 70. kognitywistyka jako samodzielna, interdyscyplinarna nauka wyodrębniła się w Stanach Zjednoczonych, gdzie powstały pierwsze programy studiów, zostało założone stowarzyszenie Cognitive Science Society, a także wydawane przez nie czasopismo „Cognitive

Science”. Lata 90. to pierwsze programy studiów, które ruszyły w Europie Zachodniej. W Polsce kognitywistyka przeszła transformację od niemal zupełnie nierozpoznawalnej szerzej dziedziny do bardzo modnej i wpływowej. Wyrazem tego jest rosnące zainteresowanie studiami kognitywistycznymi. W 2005 zostały otwarte pierwsze tego typu studia na UAM w Poznaniu, obecnie zaś są one prowadzone na 10 polskich uczelniach. Ponadto zauważalny jest wysoki udział kognitywistów wśród laureatów np. prestiżowej nagrody Narodowego Centrum Nauki. Wśród przedstawicieli nauk humanistycznych i społecznych stanowią oni aż połowę nagrodzonych (trzech na sześcioro).

Wobec tak prężnego rozwoju kognitywistyki, warto zastanowić się nad jej krytyką, także w kontekście wpływu ustaleń naukowych na potoczny obraz świata. Niektórym kognitywistom zarzucane jest bowiem ograniczone spojrzenie na zjawiska, które badają oraz deprecjonowanie innych podejść, czego konsekwencją może być wręcz tworzenie pewnej ideologii za-

miast otwartej nauki. Z tej perspektywy przemysł przez naukowców motta Spider-Mana wydaje się jak najbardziej wskazane.

Kognitywistyka niejedno ma imię

Najpierw należy jednak wskazać na dwie możliwości rozumienia kognitywistyki. W pierwszym – węższym – znaczeniu jest ono związane ze wspomnianą rewolucją kognitywną i paradygmatem ustalonym przeciwko programowi behawioryzmu. Paradygmat ten nawiązywał do cybernetyki. Starł się wyjaśniać i opisywać wewnętrzne procesy poznawcze w kategoriach obliczeniowych, a więc traktując umysł jako rodzaj komputera operującego na przykład na przekonaniach czy pragnieniach (ujmowanych jako tzw. reprezentacje mentalne). Oczywiście, kognitywistyka w tym rozumieniu, nawet u swoich początków, nie ograniczała się jedynie do obliczeniowych teorii umysłu. Sednem tego wąskiego rozumienia jest po prostu traktowanie kognitywistyki jako pewnego programu, który dąży do wyjaśnienia procesów poznawczych, postulując jakiegoś rodzaju mechanizmy wewnętrzne. Zakłada się w nim także możliwość uzyskania, przynajmniej w pewnej mierze, trzecioosobowego dostępu do tych mechanizmów, a więc takiego dostępu, który nie wymagałby relacji z życia wewnętrznego osoby, której procesy badamy. W praktyce formułuje się wyjaśnienia w oparciu o modele obliczeniowe lub aparaty pojęciowe nauk neurobiologicznych. Ze wspomnianymi postulatami związana jest natomiast potrzeba zredukowania tego, co wyjaśniają (od procesów zapamiętywania po odczucia estetyczne) do zjawisk mierzalnych i obiektywnych (np. konkretne zachowanie, po-

szerzone źrenice lub podwyższone tętno w reakcji na oceniany bodziec).

Drugi sposób rozumienia kognitywistyki jest szerszy i słabiej związany z założeniami pierwszych kognitywistów. Zgodnie z nim, kognitywistyka polega po prostu na interdyscyplinarnym badaniu procesów poznawczych. W tym szerokim rozumieniu kognitywistą jest zarówno informatyk projektujący sieci neuronowe przy uwzględnieniu ustaleń neurobiologii, jak i filozof, analizujący doniesienia nauk szczegółowych i optujący za niemożliwością wytłumaczenia przez nie niektórych zjawisk psychicznych.

Różnica między wąskim a szerokim rozumieniem kognitywistyki jest widoczna zwłaszcza w przypadkach skrajnych, gdy jakieś zjawisko, jak np. świadomość, jest przez niektórych kognitywistów wąskich redukowane do zjawisk możliwych do zbadania z trzecioosobowej perspektywy

Różnica między wąskim a szerokim rozumieniem kognitywistyki jest widoczna zwłaszcza w przypadkach skrajnych, gdy jakieś zjawisko, np. świadomość, jest przez niektórych kognitywistów wąskich redukowane do zjawisk możliwych do zbadania

z trzecioosobowej perspektywy. Niektórzy kognitywiści w szerokim rozumieniu mogą bowiem optować za niemożliwością przeprowadzenia takiej redukcji – dla nich świadomość będzie posiadać aspekt pierwszoosobowy, polegający na przykład na odczuwaniu specyficznego wrażenia „jak to jest czuć smak czekolady”, którego nie da się w sposób wyczerpujący wytłumaczyć obiektywnie. Różnica zdań jednak nie jest w tym wypadku niczym nagannym. Problem pojawia się wtedy, gdy założenia jednego ze sposobów rozumienia kognitywistyki są traktowane jako niepodważalne do tego stopnia, że deprecjonuje się tych badaczy, którzy ich nie przyjmują. Z takimi zjawiskami mamy niekiedy do czynienia, wtedy właśnie kognitywistyka staje się kognideologią.

Antropologów nie Kocham, dualistów nie lubię, ich nie pocałuję

Jest rok 1996. Gdzieś w zaciszu lipskiego domu Hans ze wzburzeniem rzuca tęgą książką o ścianę. Na okładce widnieje tytuł „The German Dictionary of Cognitive Science”, pod spodem jakaś figura geometryczna. „To są kpiny! Pięciokąt! Myślałby kto!” – krzyczy Hans nerwowo kręcąc się po domu.

Wzburzenie Hansa nie wynika jednak z tego, że ma on nadmiernie emocjonalny stosunek do niektórych figur geometrycznych. Hans jest antropologiem kognitywnym i dobrze wie, że tradycyjnie antropologia obok psychologii, filozofii, lingwistyki, sztucznej inteligencji oraz neurobiologii jest traktowana jako jedna z dziedzin tworzących kognitywistykę. Wyrazem tego jest graficzny sześciokąt, na którego kątach umieszczone są wspomniane nauki, czasem połączone ze sobą bokami i przekątnymi, jako obraz kogni-

tywistyki. Opuszczenie jego dziedziny w autentycznym słowniku z 1996 roku jest przejawem trudnej relacji jaka łączy antropologię z wąską kognitywistyką.

Program wąskiej kognitywistyki zakłada obiektywność opisu zjawisk przez siebie badanych i dąży do formułowania możliwie uniwersalnych modeli tłumaczących ludzkie poznanie. Między innymi te kwestie wpływają na napięcie pomiędzy kognitywistyką głównego nurtu (w znacznej mierze związaną z wąskim podejściem) a antropologią kognitywną (w naturalny sposób położoną bliżej kognitywistyki w sensie szerokim).

W roku 2012 czasopismo „Topics in Cognitive Science” poświęciło cały numer zagadnieniu miejsca antropologii wśród nauk o poznaniu. Zdecydowana większość autorów wskazywała na pewien konflikt w tej materii. Sieghard Beller, Andrea Bender i Douglas Medin opisują szereg zjawisk, które można traktować jako dowody ostracyzmu większości środowiska kognitywistów względem antropologów. Począwszy od notorycznego braku oddzielnych paneli poświęconych antropologii na konferencjach kognitywistycznych, poprzez bardzo nieliczną (często zerową) reprezentację antropologów na zjazdach Cognitive Science Society, aż po traktowanie w pracach większości kognitywistów wyników badań antropologicznych jedynie jako anegdotycznych.

Nie tylko antropologowie bywają jednak deprecjonowani przez kognitywistów. Myśliciele postulujący istnienie nieredukowalnych do np. zjawisk fizycznych własności jakościowych (wspomnianego wcześniej, specyficznego, zupełnie subiektywnego poczucia „jak to jest” czuć np. smak czekolady) bywają wręcz wyśmiewani przez takich filozofów jak Daniel Dennett, który jest jednym z najpopularniejszych

filozofów-kognitywistów na świecie. Owe wyśmiewanie w pewnej mierze jest kwestią specyfiki dyskusji na polu współczesnej filozofii umysłu, która często płynie w stronę ciętej publicystyki. Jednak przełożenie niektórych przekonań naukowych Dennetta na jego działalność społeczną (jest on jednym z najżywszych przedstawicieli tzw. nowego ateizmu) w połączeniu z jego popularnością sprawia, że skrajne reakcje na niektóre poglądy mogą rozmywać obraz obecnego stanu wiedzy naukowej dla osób niezaznajomionych z całym spektrum stanowisk i wpływać na ich poglądy w sposób niemerytoryczny.

Czego kognitywistyka nie wyjaśnia

Można mieć jednak wątpliwość, czy kognideolodzy nie mają w pewnej mierze racji. Być może nie ma po prostu dobrych argumentów przeciwko traktowaniu nauk o poznaniu zgodnie z założeniami programu wąskiej kognitywistyki, a naukowcy tacy jak Hans powinni się pogodzić, że dla poważnych kognitywistów ich działalność naukowa może pełnić rolę co najwyżej inspiracji lub ciekawostki.

Takie podejście nie jest jednak słuszne – założenia stojące za wąskim programem kognitywistyki były wielokrotnie krytykowane. Na początku lat dwutysięcznych Richard Rorty oraz Robert Brandom sformułowali szereg zarzutów przeciwko kognitywistyce. Po pierwsze, zarzucali jej właśnie zbyt wąskie rozumienie umysłu. Rorty i Brandom wskazywali na to, że podejście wąskiej kognitywistyki nie uwzględnia społecznego charakteru poznania. Ich zdaniem program badawczy dążący do wyjaśnienia umysłu w języku ostatecznie jednej nauki - a więc program wąskiej kognitywistyki – nie jest w stanie w sposób kompleksowy opisać fenomenu

poznania. Jest ono bowiem nie tylko wynikiem sprzężenia pewnego mechanizmu ze środowiskiem, reakcją na dane warunki zewnętrzne, ale także pewną kompetencją społeczną. Podobnie jak język, jest nie tylko przekształcaniem symboli i opisanych wcześniej reprezentacji, ale także umiejętnością. Żeby zrozumieć umysł, musimy rozumieć zasady działania społeczeństwa, w którym się znajduje; nie tylko mechanizmów, z których zbudowany jest układ nerwowy.

Inne argumenty przeciwko wąskiej kognitywistyce można przedstawiać w odniesieniu do tzw. psychologii potocznej

Jak jednak przy podejściu Rorty'ego i Brandoma badać umysł? Jak można tworzyć przewidywania, skoro ich wizja uniemożliwia stworzenie pełnego i deterministycznego wyjaśnienia procesów umysłowych w języku nauk szczegółowych? Reguł gier społecznych nie wyjaśnią nam obrazy aktywności mózgu fMRI (metodą rezonansu magnetycznego). Na tego typu zarzuty Rorty odpowiada, że przeciwni mu kognitywiści zachowują się jak ktoś, kto szuka kluczy pod latarnią, nie dlatego, że mu tam upadły, ale dlatego, że tam najlepiej widać. Trudność naukowego badania uspołecznionej wizji umysłu bronionej przez Rorty'ego nie wpływa na to, że jest to wizja adekwatna. Podejście jego krytyków natomiast, choć operujące doskonałymi metodami, jest niepełne. Wąska kognitywistyka pozwala zatem na precyzyjne wyjaśnienia, które z pewnością

rozszerzają nasze rozumienie działania umysłu, ale mogą nie uwzględniać niektórych jego istotnych aspektów.

Inne argumenty przeciwko wąskiej kognitywistyce można przedstawiać w odniesieniu do tzw. psychologii potocznej. Jednym z głównych założeń potocznych teorii dotyczących działania innych ludzi jest to, że za ludzkim zachowaniem stoją ich przekonania odnośnie do tego, jak działa świat oraz pragnienia, do których spełnienia dążą. W ramach wąskiej kognitywistyki pojawiają się niekiedy próby odrzucenia tych założeń poprzez zredukowanie pragnień i przekonań do np. procesów biologicznych. Propozycje odrzucenia języka pragnień i przekonań w nauce były formułowane np. przez Stephena Sticha w latach 80., a obecnie stanowiska tego broni Patricia Churchland. Sam Stephen Stich jednak w wywiadzie dla czasopisma „Problemos” z 2015 roku przekonywał, że podejście eliminujące pragnienia i przekonania jest nie do utrzymania. Dla poparcia tej tezy wskazywał m.in. sukcesy nauk opartych w znacznej mierze o psychologię pragnień i przekonań, a więc znaczną część np. psychologii rozwojowej.

Wizja człowieka

Program wąskiej kognitywistyki w olbrzymiej mierze przybliżył nas do zrozumienia działania umysłu i poznania. Przekonanie jednak, że jest w stanie wytłumaczyć wszystko co tyczy się umysłu i poznania, jest jednak zdecydowanie na wyrost. Co więcej, zideologizowane podejście odrzucające teorie spoza „wąskiej kognitywistyki” jest wręcz szkodliwe. Wynika to przede wszystkim z tego, że w swoich wyjaśnieniach nie ujmuje ono tych aspektów, które są dla nas fundamentalne. Społeczny

charakter poznania, choć uwzględniany przez niektóre współczesne nurty kognitywistyki, jak chociażby tzw. enaktywizm (nurt, według którego poznanie powstaje w wyniku dynamicznej interakcji między działającym organizmem a jego środowiskiem), wciąż wydaje się być deprecjonowany przez kognitywistyczny mainstream, co obrazuje opisany ostracyzm względem antropologii kognitywnej. Mimo argumentów na rzecz przyjęcia założeń psychologii potocznej w kognitywistyce, wciąż jest wielu filozofów-kognitywistów, którzy przekonują o konieczności zrezygnowania z nich. Tego typu radykalne rozwiązania są jednak nie do przeprowadzenia z powodu fundamentalnej nieprzystawalności ich propozycji do oczekiwań przeciętnego człowieka zainteresowanego wytłumaczeniem tego jak działa umysł. A więc każdego, kto chciałby się czegoś o sobie i świecie dowiedzieć z kognitywistycznych artykułów.

Filozof Jerry Fodor, broniąc teorii umysłu zgodnej z psychologią potoczną, powiedział, że gdyby odrzucić jej założenia, to byłaby to największa katastrofa intelektualna w historii ludzkości. Wynika to z tego faktu, że myślenie o ludziach jako posiadających przekonania i pragnienia oraz działających według nich jest dla nas absolutnym fundamentem wizji człowieka jako istoty myślącej. Te założenia są tak naprawdę punktem wyjścia do stawiania pytań o działanie umysłu. Wytłumaczenia redukujące świadomość, przekonania czy pragnienia do zjawisk tylko mechanicznych czy biologicznych, choćby nawet mogły być z perspektywy własnego programu kompletne, nie są w stanie zadowolić tych, dla których przez same swoje założenia omijają rzeczy najistotniejsze. Subiektywność naszych przeżyć świadomych jest pewnym punktem wyjścia

do stawiania pytań o naturę owej świadomości. Jeśli poprzez wspomnianą redukcję opuścimy tę subiektywność, wyjaśnienia biologiczne nie będą już dotyczyć tego, co chcieliśmy wytłumaczyć. Myśląc o działaniu innych, wychodzimy od założeń dotyczących ich przekonań i pragnień. Jeśli znów, poprzez wspomnianą redukcję, będziemy tłumaczyć podejmowanie decyzji bez odwołania się do przekonań i pragnień,

wyjaśnienia te nie będą dotyczyć tych zjawisk, które naprawdę nas interesują. Nie dowiemy się w pełni, dlaczego ten nasz sąsiad z naprzeciwka tak uwielbia Dawida Podsiadłę, jeśli wytłumaczymy to tylko w języku wąskiej kognitywistyki. Dowiemy się wiele, ale nie wszystkiego. Nasze spojrzenie na sąsiada jest po prostu dużo szersze niż wąskiej kognitywistyki. Nasza wizja człowieka jest szersza.

„Genialna” Ferrante



ANDRZEJ HORUBAŁA

Współpracownik „Nowej Konfederacji”,
pisarz, krytyk, producent telewizyjny

Opresja, jakiej podlega współczesna kobieta, ale przecież także próby wyrwania się ze społecznych nizin – tę problematykę destyluje Szczawińska w swoim spektaklu z poczciwej pozornie powieści „Genialna przyjaciółka”

Najpierw był opór.

Kinga Dunin, zagorzała feministka, w której smak literacki nigdy jednak nie wątpiłem, skutecznie odstręczała mnie od lektury, z pogardą spychając tetralogię neapolitańską Eleny Ferrante w rejony literatury kobiecej, drugorzędnej, która zaspokaja wstydlive tęsknoty czytelnicze niewiast, literatury tkanej z banalnej tandety kolorowych pisemek i mało wysublimowanych emocji.

Gdy widziałem więc moją Agnieszkę, przedzierającą się przez kolejne tomy od „Genialnej przyjaciółki” po „Historię zaginionej dziewczynki”, to traktowałem jej lekturę raczej jako sposób na kulturalne zabicie czasu niż akt egzystencjalny, konfrontujący własną biografię z historią odczytywaną na kartach powieści, zestawiający swoje doświadczenia i obraz świata z żywotem sześćdziesięciolatki wywodzącej się z Neapolu.

Ale przecież zachwyty Agnieszki i deklaracje, że odnajduje tam coś więcej, że ta proza ma jakiś naddatek i że to nie jest takie proste, jak jawi się ideolożce z „Kry-

tyki Politycznej”, nie pozwolił mi dłużej wstrzymać się z lekturą, i choć z trudnością przebrnąłem przez pierwsze rozdziały, to jednak potem odnalazłem w czytaniu jakąś niesamowitą, młodzieńczą prawie, radość. Radość jak ze studenckiego flirtu, które przeradza się w zauroczenie, gdy czytamy książki, które jej się podobają, gdy chodzimy z nią do kina na jej filmy, na jej wystawy, gdy w ten sposób przyjmujemy zaproszenie do jej wnętrza, gdy próbujemy spojrzeć na świat jej oczyma, poznać jej lęki i fascynacje.

Hassliebe

Opowieści o traumach dziewczynki, dziewczyny, kobiety wzrastającej w patriarchalnym, pełnym przemocy i okrucieństwa Neapolu, o próbach wyrwania się z dzielnicy, ucieczki od nędzy i przemocy, zerwania z otoczeniem, które wciąż ścigało w dół, spychało ku przeciętności i drugorzędności, tej opowieści, podejmującej także wątki seksualnej inicjacji, zdumienia mocami, jakie wzbudza w nas Eros, smut-

ku i kobiecego niespełnienia mimo przeżycia cudu macierzyństwa, towarzyszyły też wątki niekoniecznie związane z płcią.

**„Co to jest plebs?” –
w szkolnej scenie jak
z „Ferdydurke” pada pytanie
nauczycielki-przewodniczki,
która sekundować będzie
próbom dziewczynek, by
wyrwać się z zapyziałej
dzielnicy i córkę woźnego
w magistracie oraz córkę
szewca wypchnąć z ich nor**

Choćby przyjaźń głównej bohaterki, Eleny Greco z córką szewca, Lilią Cerullo, przyjaźń dziwna, mająca znamiona *Has-sliebe*; rywalizacja, ale też wzajemne wspieranie się. I ciągły lęk, gdy Elena zestawia swe sukcesy i karierę pisarki, intelektualistki z dziwną drogą życiową obraną przez Lili, drogą zdawałoby się samobójczą, zmierzającą do samounicestwienia, ale znaczoną od czasu do czasu ekscesami świadczącymi o jej niezwykłym talencie, geniuszu. To ona – dzika, nieobliczalna, szalona – jest tą genialną przyjaciółką, której gest, momentalna manifestacja czegoś nieskończenie pięknego, niezwykłego, kreacja szybko zamazana, starta, zdewastowana, ze śmiechem unieważniona, zlekceważona, przypomina prymusce Elenie, że istnieje świat boskich natchnień i intuicji, do którego nie dochodzi się pracą, że istnieje wdzięk, gracia, łaska, której nie wypracuje się czytaniem książek

i wkuwaniem zwrotów. I przecież Lili jest dla Eleny ciągłym źródłem lęku. Lęku, że wszystko, co robi, sukcesy, jakie osiąga: społeczny awans, małżeństwo z profesorskim synem, wejście na przedpokoję elity, literacki debiut i późniejsze osiągnięcia pisarskie, uznanie czytelników i salonu, świetne recenzje i autorskie spotkania – że to wszystko oparte jest na oszustwie, że wyrwanie się z neapolitańskich slumsów, wspinanie się po drabinie społecznego awansu, to wszystko pozór i kłamstwo. I przyjaciółka, która nie weszła na drogę kariery, porzuciła edukację, pozostała w nędznej dzielnicy Neapolu, wiążąc się z chłopakami z sąsiedztwa – że to ona miała rację, poddając się na początku, wiedząc swoje, porzucając drogę światową; i że to ona zwycięża w tym dziwnym współzawodnictwie.

Dla Kingi Dunin, która z pobłażliwością ideologa analizuje tetralogię neapolitańską, dwie główne bohaterki, Elena i Lili stanowią „dwa aspekty tej samej postaci”, a ich „związek jest tak silny, że... pozwala przypuszczać, że w gruncie rzeczy jest to jedna osoba”.

Postdramatyczny spektakl

Tą drogą częściowo podąża Weronika Szczawińska, która we wrocławskim Teatrze Współczesnym podjęła się adaptacji bestsellerowej powieści Ferrante. Wraz z Piotrem Wawrem, przygotowała ona postdramatyczny spektakl, w którym szescioro aktorów wciela się w coraz to inne postaci ze świata Ferrante, by w laboratoryjny sposób, złożony z krótkich sekwencji, budzących czasem wrażenie aktorskich improwizacji, szkolnych studyjnych zadań, zinterpretować neapolitański cykl. Wyłuskała więc Szczawińska wespół z Wawrem niektóre motywy i uczyniła

wzerającymi się w głowy odbiorców natrętnymi refrenami, obsesyjnymi tematami pojawiającymi się w różnych wcieleniach i konfiguracjach.

Rozpoczęła spektakl od kakofonicznego przedstawienia bohaterów powieści i łączących ich relacji, pokazując widzom, że nie sposób zamknąć w tradycyjnych teatralnych ramach dwóch tysięcy stron prozy. Wyliczanka postaci, nakładające się na siebie głosy – to hałaśliwe preludeum, zapowiadające obranie strategii zupełnie innej niż ta przyjęta przez Ferrante.

Powieść, świadomie operująca narracją naiwną, grająca na obniżenie tonu z całą premedytacją (dość zestawić ją z wcześniejszymi bardziej wyrafinowanymi literacko książkami sygnowanymi przez Ferrante!), oparta na swoistym pakcie autobiograficznym, wzmacnianym ukrywaniem tożsamości twórcy, a więc uniemożliwiającym konfrontację autentycznego autora z bohaterem narratorem, i spektakl – progresywny, hałaśliwy, przerysowany, odrzucający estetykę realizmu i złudę werystycznego odtwarzania rzeczywistości. Szczawińska, świadoma niemożności scenicznego opisu perypetii zapisanych przez Ferrante, ciągnących się od epizodu małych dziewczynek z żalnymi lalkami aż po gorzkie sześćdziesięciolecie, chce nas zarazić swoją interpretacją powieści, przedstawić kluczowe epizody, kulminacyjne momenty, dać wykrzyknąć bohaterom ich prawdy, zogniskować naszą uwagę na wybranych przez siebie elementach będących tematami krótkich scenek, interakcji z widownią, aktorskich popisów, przedrzeźnień, piosenek.

Drapieżne widowisko

Opresja, jakiej podlega współczesna kobieta, wszechobecny gwałt – symboliczny

i realny, jaki jej zagraża i jest jej traumą, kłopoty z własną seksualnością, przełamanie tabu w opowieściach o swej cielesności, niedopasowanie do przydzielanych ról, ale przecież także próby wyrwania się ze społecznych nizin, awans uzyskiwany dzięki edukacji, który jednak nie pozwala zapomnieć o marnych korzeniach, tę problematykę destyluje Szczawińska z poczciwej pozornie powieści Ferrante i zamiast naiwnej narracji, pokazującej, co przydarzyło się prymusce z Neapolu, częstuje nas drapieżnym widowiskiem pełnym krzyku i furii.

Obok Anny Kiecy, fenomenalnie grającej Elenę z jej zagubieniem i momentami mocy, z jej niepewnością w odczuwaniu własnego ciała i brakiem samoakceptacji, z jej ogładą, ale i eksplodującym raz po raz chamstwem, widzimy więc Paulinę Wosik, która – drobna, niewysoka, wciela się we włoskiego macho dumnego ze swego długiego, złotego, zwisającego kutasa. Jej bohater budzi litość i zażenowanie, gdy każe podziwiać swego fiuta widzom, a jednocześnie przecież pokazuje cierpienia, jakie zadaje kultura mężczyznom wpisując ich w groteskowe role.

Przejęty, miękki Mariusz Bąkowski przedrzeźniając bohaterów agresywnie wprowadza tematykę rozchwianej tożsamości płciowej, a towarzyszący mu Jerzy Senator ze swoim nieefektywnym, podstarzałym, tłustym ciałem, grając a to lubieżnego profesora, to nieśmiałego narzeczonego czy topornego kochanka lub autorytatywnego intelektualistę, pokazuje różne wcielenia mężczyzn zagrażających kobietom, niepotrafiących ich zaspokoić, mężczyzn zagubionych, kompromitujących się. Anna Błaut i Ewelina Paszke-Lowitzsch grają towarzyszące Elenie kobiety, które są dla niej – osamotnionej, dotkliwie ranionej – źródłem raczej stresu niż otuchy

czy wsparcia, wysuwając wobec niej wciąż pretensje i dyscyplinując ją na życiowej drodze.

Opowieść dla Polaków

„Co to jest plebs?” – w szkolnej scenie jak z „Ferdydurke” pada pytanie nauczycielki-przewodniczki, która sekundować będzie próbom dziewczynek, by wyrwać się z zapyziałej dzielnicy i córkę woźnego w magistracie oraz córkę szewca wypchnąć z ich nor. Po długim krążeniu wokół tematu, odpowiedziach jak ze szkolnych czytanek, pobocznych tropach pada wreszcie to okrutne szydercze stwierdzenie: „Plebs to ten, kto jest nikim i zrobi wszystko, aby stać się kimś, przez co staje się zupełnie niewiarygodny”. I przecież potem, gdy obserwujemy próbę wybijania się Eleny na salony, gdy obserwujemy ją, jak podlizuje się, popisuje przed profesorstwem, opowiadając jakieś antyamerykańskie komunale, jak niepewna staje się lewicową, nasiakając nowomodnymi broszurami, przejmując nieswój język, nie swoje idee, to czujemy, jak wciąż ma w sobie świadomość własnej słabości, świadomość oszustwa, jakim jest jej aspirowanie do elity. Bo elita, jak widzi z bolesną bezsilnością, to „wychowanie w przekonaniu, że sprawy świata należy traktować jak własne, a nie jako czystą informację do zreferowania podczas egzaminu, żeby dostać dobrą ocenę. Wiesz, takie indywidualne nastawienie, żeby nie sprowadzać wszystkiego do twojej indywidualnej bitwy, żeby zaskarbić sobie uznanie”. A Elenie zależy. Za bardzo zależy.

I przecież wie, że nigdy nie będzie jak ta napotkana kiedyś dziewczyna w zielonym meloniku i cała na zielono, której obecność na trotuarze, podczas wypadu do lepszej dzielnicy, była dla obu przyja-

ciółek epifanią przepaści. Przepaści nie do zasypiania, przepaści klasowej, materialnej, kulturowej. I choć na tę przemoc symboliczną chłopaki z dzielnicy reagują całkiem naturalnie i prostodusznie prymitywną przemocą fizyczną, wszczynając bójkę, to Elena do końca swoich dni nosić będzie przekonanie, że ta dziewczyna w zielonym meloniku „była od nas lepsza, tak po prostu, mimowolnie”.

**Niekoniecznie wszystko jest spójne i się domyka.
Radziszewski serwuje nam niezły kociokwik estetyczny**

Świetnie interpretował ten wątek powieści Jakub Zgierski, pokazując powinowactwa neapolitańskiej opowieści z mentalną sytuacją współczesnej Polski. Zachwycał się „Genialną przyjaciółką” na portalu Dwutygodnik.com w imieniu „aspirujących wnuków małorolnych chłopów, słoików, informatyków-zmywaczy naczyń, kuratorów-pakowaczy kielbas”. Opowieść Ferrante – zauważał – „musi brzmieć znajomo w Polsce, kraju będącym produktem trwającego od pół wieku, wertykalnego ruchu społecznego, chłopskiej aspiracji, ciągłego oddomawiania, nieustannego wykorzenia, odbigoszania, odpieleszania, odcodzienniania, wyrwania, emigracji”.

Rzeczywiście, ale sceniczna opowieść Szczawińskiej jest też historią zatopioną we włoskiej rzeczywistości i pytaniem o włoską tożsamość. Choć zaledwie przeslizguje się po temacie mafii, to nie tylko prezentuje krzykliwe życie rodzinne, gdzie

słowna agresja łatwo przeradza się w fizyczną, a emocjonalna przesada znajduje ujście w ariach, ale też pyta o dziwne relacje Włochów z pięknem, gdy naturalny olśniewający zmysł estetyczny łatwo degeneruje się w kicz, transponując klasyczne formy w żenującą przesadę. Za sprawą Karola Radziszewskiego, twórcy kostiumów i scenografii, mamy bowiem do czynienia ze spektaklem niezwykle intensywnym plastycznie.

„Elena, nie umiesz myśleć”

Niekoniecznie wszystko jest spójne i się domyka. Radziszewski serwuje nam niezły kociokwik estetyczny. Ubiera aktorów w krzykliwe kreacje spod ręki Versacego, widzów usadza zaś w jasno oświetlonym salonieumeblowanym postmodernistycznymi meblami projektowanymi przez Ettore Sottsass, bohaterom każąc ogrywać jego dziwny totem. Przypomina nam tło, w jakim rozgrywa się dramat Eleny Greco, i przywołuje drażniące elementy włoskiego stylu, w którym krótka jest droga od elegancji do wulgarności, droga od zachwyty linią, mistrzowskim cięciem – do przeładowania i oczojebności. To jeszcze jeden przejaw prawdy o Italii – kraju pozorów, gdzie dawna imperialna świetność istnieje w kiczowatych wcieleniach, a chłód klasycznych form bywa oprawiony w bazarowe ozdóbki.

Spektakl wieńczy popis aktorski Anny Kiecy, która odtwarza ostatnią rozmowę przyjaciółek, wcielając się w obie kobiety. Lila zarzuca Elenie, że ta, choć odczytana nigdy na dobrą sprawę nie stała się mądra i samodzielna: „Ty tyle ślęczałaś nad tymi swoimi książkami, ale nigdy, nigdy, się nimi nie posłużyłaś, nie wykorzystałaś ich przeciwko nim samym, pomimo całego

włożonego trudu, kurwa, Elena, no, nie umiesz myśleć, Elena, nie umiesz...”. Zrozpaczona Elena opowiada jej o swojej samotności, o żalu, że Lila nie towarzyszyła jej w walce ze światem, że nie podjęła razem z nią próby wyrwania się z neapolitańskich nizin, że jej nie wspierała: „posłuchaj, nad czym się teraz zastanawiam, żeńska samotność umysłu to wielka strata, że oddzielenie jednego umysłu od drugiego to marnotrawstwo...”. I niepoprawna prymuska znów oddaje się marzeniom o jakimś siostrzeństwie i zwycięskiej walce ze światem.

„Elena, zamknij się, zamknij się i przestań mnie wkurzać!” – wrzeszczy Lila i tym okrzykiem pełnym wściekłości i zwątpienia wieńczy spektakl, a publiczność bije brawo, choć chyba chciałaby jeszcze dłużej celebrować opukiwanie tej książki, obcowanie z jej bohaterami, przyglądać się, jak obrazuje Szczawińska neapolitańską tetralogię.

Czuję nastrój jak na spotkaniach jakiegoś klubu czytelników, owszem, oglądam interpretację idącą często w poprzek moim intuicjom, widzę, jak tendencyjne ramy naciągają niektóre wątki, jak ton zaangażowania zagłusza brzmiące w prozie Ferrante nuty rezygnacji i nieufności wobec ideologii, ale nie odczuwam tego jako jakiegoś niedopuszczalnego gwałtu na książce. Przecież cieszymy się z Agnieszką tą radością czytelników, że przez wizytę w teatrze możemy jeszcze przedłużyć radość z aktu lektury, możemy ponowić ją i przeżyć, choć skrzywioną, wyostrzoną, to jednak wciąż ewokującą świat Eleny Greco, walczącej o siebie w zmieniającej się współczesności. Eleny upadającej, wapiącej, czasem mocnej, czasem wylęknionej jak mała łkająca dziewczynka.

„Genialna przyjaciółka”. Reżyseria Weronika Szczawińska. Wrocławski Teatr Współczesny. Premiera 17 lutego 2018, spektakl w lutym 2019 powraca na afisz po remoncie teatru

Elena Ferrante, tetralogia neapolitańska: „Genialna przyjaciółka” (tłum. Alina Pawłowska-Zampino), „Historia nowego nazwiska”, „Historia ucieczki”, „Historia zaginionej dziewczynki” (tłum. Lucyna Rodziewicz-Doktór). Wydawnictwo Sonia Draga, Katowice 2016

Reklama

Pod uwagę działaczom religijnym, politycznym i społecznym:

Chrześcijańska myśl ekonomiczna

Chrześcijańska myśl ekonomiczna stanowi kierunek badania znaczenia Przykazań Dekalogu: „Nie kradnij!” i „Nie pożądaj własności bliźniego!” dla ekonomii i gospodarki, oraz na wyciąganiu wniosków z wyników tych badań w celu ich wykorzystania w nauce ekonomii i polityce gospodarczej. Inspiracją tej myśli jest stwierdzenie, że ponieważ aż dwa te Przykazania mają za cel ochronę własności człowieka, czyli ochronę własności prywatnej, to znaczy, że Stwórca nadał nienaruszalności instytucji własności prywatnej wysoką rangę. Stanowi ona dobro nierozzerwalne z człowieczeństwem. Pod pojęciem „własność prywatna” rozumie się, oczywiście, dobro uczciwie nabyte przez człowieka, a nie dobro przez niego posiadane, lecz nabyte drogą jakiegokolwiek rodzaju kradzieży.

Wyniki badań powyższego wpływu okazują się rewelacyjne. Okazuje się, że łamanie przez ludzi i ich rządy Przykazania „Nie kradnij!”, poprzedzane na ogół łamaniem Przykazania „Nie pożądaj własności bliźniego!”, czyli, inaczej mówiąc – kradzież jest główną przyczyną, lub samą istotą, prawie wszystkich poważnych krajowych i międzynarodowych problemów i kryzysów gospodarczych wiodących do biedy i różnych niepożądanych efektów społecznych. Im powszechniejsze zjawisko kradzieży we wszelkich jej formach, a szczególnie w formach grabieży zalegalizowanej przez państwo i popełnianej na różne sposoby, często „w majestacie prawa”, na obywatelach, tym poważniejsze hamowanie rozwoju gospodarczego i dobrobytu. Do tych sposobów zaliczyć należy, między innymi:

- 1) zaciąganie pożyczek państwowych bez wiedzy i zgody obywateli, którzy wraz ze swym potomstwem pożyczki te będą musieli spłacać;
- 2) drukowanie papierowych pieniędzy bez ich pokrycia w przyroście bogactwa narodowego, co powoduje inflację i obniżanie wartości pieniędzy już posiadanych przez obywateli;
- 3) przyznawanie przez władze różnych licencji, monopoli i innych przywilejów wybranym ludziom lub grupom ludzi, kosztem wszystkich pozostałych;
- 4) tworzenie w instytucjach państwowych tak zwanych stanowisk pracy, pracy bezproduktywnej i pasożytniczej, będącej przykrywką do dzielenia się pieniędzmi z kieszeni podatnika;
- 5) sprzecznie z zasadą równości wszystkich obywateli wobec prawa, zalecane przez Marksa opodatkowanie wybiórcze (progresywne) ludzi zamożniejszych, a tym samym karanie ich za to, że w gospodarce rynkowej stali się nimi dzięki swej pra-

Reklama

- cowitości, zaradności, uczciwości, wyrzeczeniom, oszczędzaniu i zaspokajaniu potrzeb innych ludzi owocami swej działalności;
- 6) opodatkowanie na cele nie służące dobru całego społeczeństwa, lecz tylko niektórych jego grup;
 - 7) łamanie prawa podaży i popytu, przez narzucanie cen minimalnych lub maksymalnych za jakieś dobra – a więc okradając właściciela danego dobra z prawa do swobodnego dysponowania swą własnością;
 - 8) szerzenie i praktykowanie korupcji poprzez tworzenie korupcjogennych urzędów dla „swych” ludzi i ochrona ich działań drogo kosztujących całe społeczeństwo;
 - 9) praktykowanie socjalizmu poprzez bezpośrednią konfiskatę własności prywatnej na rzecz państwa i jego różnych instytucji;
- itd., itd.

W świetle powyższego jasne jest, dlaczego państwa socjalistyczne i „opiekuńcze” oparte na „uszczuplaniu” i konfiskacie własności prywatnej prowadzą kraje do bankructwa, a rodziny i społeczeństwa do rozkładu.

Przyjęcie powyższego do wiadomości powinno być szczególnie łatwo akceptowane przez nas, chrześcijan, dla których Dekalog, będący zbiorem nakazów i zakazów pochodzących od Stwórcy, jest jednym z filarów wiary. Szczególnie czujni winniśmy być na znaczenie nieraz spotykanych haseł o potrzebie realizacji zasad sprawiedliwości społecznej (co, między innymi, jest wyrażone w Artykule 2 obecnie obowiązującej Konstytucji RP), bo często bywają one pośrednim wzywaniem do łamania Przykazania 10 („Nie pożądaj żadnej rzeczy należącej do bliźniego”) i do przymusowego wyrównywania międzyludzkich nierówności majątkowych i społecznych, drogą zalegalizowanej grabieży i kradzieży gwałcącej Przykazanie „Nie kradnij!” i chrześcijański nakaz miłości bliźniego, a są inspirowane przez różnych popleczników marksizmu, którego, jak wiadomo, jednym z podstawowych dogmatów jest konieczność likwidacji własności prywatnej. Nieopatrzna akceptacja takich haseł przez katolików, mimo, że nigdzie w Piśmie Świętym nie ma potępienia, a nawet tylko dezaprobaty nierówności międzyludzkich, stanowi sukces infiltracji wrogiej chrześcijaństwu ideologii marksistowskiej do Kościoła. Chrześcijańska myśl ekonomiczna służyć może za narzędzie intelektualne w zwalczaniu tej infiltracji. Niezależnie od tego zachęca ona patriotów pragnących jak najlepiej dla swego kraju, aby nie pozwalali rządzącym na ustanawianie i egzekwowanie praw okradania obywateli przez państwo, a doprowadzali do likwidacji takich praw już istniejących.

JAN MICHAŁ MAŁEK
Założyciel Fundacji PAFERE

Misja

Świat intelektualny – od uniwersytetów po media – nie nadąża dziś za gwałtownymi przemianami rzeczywistości politycznej, gospodarczej i społecznej, opisując je za pomocą kategorii z poprzednich epok. To zasadniczo obniża jakość rządzenia, które wymaga rozstrzygnięcia dylematów przy użyciu wiedzy dostępnej w danej chwili. Deficyt tej ostatniej zwiększa ryzyko decyzji błędnych lub wręcz katastrofalnych, jak również – dominacji fałszywych ideologii. Polski dotyczy to w stopniu szczególnym, ze względu na trudne położenie geopolityczne i słabość intelektualną (uniwersytetów, mediów, think tanków).

„Nowa Konfederacja” stara się temu kryzysowi myśli przeciwdziałać na cztery zasadnicze sposoby:

- 1) Poprzez formułę thinkzine'u: pierwszego w Polsce i prawdopodobnie na świecie think tanku i magazynu publicystycznego w jednym, umożliwiającą lepszą komunikację i synergii między ekspertami z różnych dziedzin oraz między specjalistami a publicystami i intelektualistami; wszystko po to, aby po pierwsze zwiększać poziom wiedzy specjalistycznej, a po drugie (i ważniejsze) budować całościowy obraz rzeczywistości;
- 2) Poprzez kształtowanie opinii elit;
- 3) Poprzez oddziaływanie na główny nurt debaty za pomocą komentatorstwa politycznego;
- 4) Pełniąc rolę pośrednika między światem ekspercko-akademickim a medialnym.

Działamy w duchu polskiej tradycji republikańskiej, uważając ją z jednej strony za najbardziej chwalebny dorobek rodzimej polityki, z drugiej za inspirację do rozwiązywania współczesnych problemów, na czele z fałszywymi dylematami: państwo czy wolność, wolność czy wspólnota. Dziś potrzebujemy jednocześnie więcej państwa, więcej wolności i więcej wspólnoty. Wyzwania tak dla politycznej podmiotowości, jak i wolności są bowiem bezprecedensowe – taka musi też być odpowiedź.

Jesteśmy konfederacją – związkiem obywateli dążących razem do dobra wspólnego, w sytuacji, gdy inne instytucje zawodzą.

Jesteśmy niezależni tak od partii politycznych, jak i od rywalizacji na klikalność. Jest to możliwe przede wszystkim dzięki hojności naszych Darczyńców. Utrzymanie niezależności i poziomu merytorycznego oraz dalszy rozwój, przybliżający realizację powyższych celów, zależą od utrzymania i rozwoju finansowania poprzez bezwarunkowe darowizny na cele statutowe.

Jeśli cenisz „Nową Konfederację” – wesprzyj ją.

Działalność

Do listopada 2017 r. „Nowa Konfederacja” była pierwszym w Polsce internetowym miesięcznikiem idei (pierwszych 51 numerów ukazało się w formule e-tygodnika, między październikiem 2013 a wrześniem 2014). Dziś „Nowa Konfederacja” to prawdopodobnie pierwszy na świecie thinkzine. To nowa forma instytucji eksperckiej i publicystycznej jednocześnie. Umożliwia to z jednej strony lepsze niż dotąd gromadzenie i tworzenie wiedzy specjalistycznej, z drugiej: efektywniejszą pracę nad całościowym opisem rzeczywistości publicznej.

Do tej pory podstawowym sposobem prezentacji takich owoców była publicystyka, która cały czas odgrywa ważną rolę w naszej działalności. Obecnie każde kolejne wydanie e-miesięcznika zawiera 10 materiałów – artykułów analitycznych, esejów, wywiadów. Dwa razy w tygodniu publikujemy komentarze reagujące na bieżące wydarzenia. Swoje miejsce ma u nas także felieton – wymierający gatunek na pograniczu dziennikarstwa i literatury pięknej, ukazujący się co najmniej raz w miesiącu.

Od listopada 2017 roku stawiamy także na działalność ekspercką. Specjaliści od spraw ustrojowych, międzynarodowych, prawa, obronności, gospodarki, samorządu i nie tylko publikują w „Nowej Konfederacji” raporty, analizy, komentarze eksperckie.

Zarówno publicyści, jak i eksperci związani z „Nową Konfederacją” występują w mediach, zarówno pracując w różnych tytułach, jak i występując w nich gościnnie czy komentując dla nich bieżące wydarzenia. Jesteśmy obecni na łamach największych polskich dzienników i tygodników, w internecie, na falach stacji radiowych, regularnie występujemy także w programach telewizyjnych stacji publicznych i prywatnych.

Ważnym elementem naszej działalności są także otwarte debaty, które organizujemy co najmniej raz w miesiącu. Zaproszeni przez nas goście – naukowcy, politycy i dziennikarze – dyskutują wokół kolejnych naszych publikacji, a także na bieżące tematy społeczno-polityczne. Jesteśmy obecni także w mediach społecznościowych – na Facebooku, Twitterze czy YouTube.

„Nową Konfederację” tworzą

Stali Darczyńcy: Bartłomiej Kachniarz, Piotr Kubiak, Michał Macierzyński, Jerzy Martini, „mieszkaniec Bytomia”, Jakub Stychno, Marcin Sławeta, Michał Kocur, Remigiusz Iwuć, Piotr Ogiński, Damian Szczerbaty, Szymon Radziszewicz, Krzysztof Szatan oraz Anonimowi Darczyńcy

Pozostali Darczyńcy: Jacek Bartosiak, Piotr Remiszewski, Piotr Woźny, Andrzej Dobrowolski, Krzysztof Poradzisz, Marek Nowakowski, Karol Tataro oraz Anonimowi Darczyńcy (Lista Darczyńców jest uaktualniana na początku każdego miesiąca)

Zespół: Kołodyńska-Magdziarz (Sekretarz zespołu), Jarema Piekutowski, Bartłomiej Radziejewski (Dyrektor), Stefan Sękowski (Zastępca dyrektora, kierownik sekcji Publicystyki), Anna Szczerbata, Paulina Raczyńska, Marcin Chruściel

Stali współpracownicy: Paweł Behrendt, Łukasz Kobeszko, Michał Lubina, Stanisław Maksymowicz, Rafał Matyja, Anna Mieszczanek, Andrzej Mikosz, Adam Radzimski, Marek Wojnar, Karol Zdybel, Adam Michalak, Witold Sokała, Piotr Celiński, Patryk Gorgol, Krzysztof Sękowski

Współpracownicy: Michał Beim, Ludwik Dorn, Błażej Duber, Stanisław Gasik, Tomasz Geodecki, Tomasz Grzegorz Grosse, Elżbieta Hibner, Maria Libura, Damian Maziarz, Filip Memches, Tomasz Pichór, Radosław Piekarz, Tomasz Pućrół, Witold Repetowicz, Jan Rokita, Błażej Sajduk, Wojciech Stanisławski, Zbigniew Stawrowski, Barbara Szewczyk, Artur Wołek, Krzysztof Wołodźko, Roman Graczyk, Paweł Średziński, Andrzej Horubała

Grafika (okładki): Piotr Promiński

Korekta i redakcja stylistyczna: Jarema Piekutowski, Stefan Sękowski

Skład: Rafał Siwik

Wydawca: Fundacja Nowa Rzeczpospolita

Kontakt: redakcja@nowakonfederacja.pl